

BIBLIOTEKA
Wydawnictwo Szkolne Pedagogiczne
w GDAŃSKU
3 Główna

NIECH ŻYJE 1 MAJA!

PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ!



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 1 maja 1955 r.

Nr 18 (266) Rok VI

LEOPOLD STAFF

MICKIEWICZ

Skrzępli spiżowym swym bezruchem
Pomnik wyrazić go nie zdoła,
Jak cierpiał, żył w pustkowiu głuchem,
Co milczy: Jedźmy, nikt nie woła!

Jeśli chcesz dotrzeć doń po śladach
Ksiąg jego, wyzbądź się nadziei.
W pierwszych nie znajdziesz go balladach,
Ani w ostatniej epopei;

Ani gdzie w wodzie echo bliżnie
Powtarza szczyty skał łożańskich;
Ani gdy myśląc o ojczyźnie
Szarpał się w gusłach szarlatańskich.

On cały jest z swym niemym smutkiem,
Ze swym pielgrzymim, twardym bolem
Pomiędzy szarym Nowogródkient,
I czarnym Konstantynopolem.



Rys. Marek Rudnicki

TADEUSZ DANIŁOWICZ

Z partyjną odwagą

Widmo krąży po Europie, widmo komunizmu. Wszystkie potęgi starej Europy połączyły się dla świętej nagonki przeciw temu widmu: papież i car, Metternich i Gutzot, francuscy radykalowie i niemieccy politejanci.

Od dziesięciu lat dni majowe rok po roku odmierzała drogę przebywaną przez nas w walce o nową Polskę, o nowego w niej człowieka. W walce prowadzonej przez wszystkie żywe i twórcze siły narodu, pod przewodnictwem Partii.

Nie było jeszcze w dziejach Polski partii politycznej, która by sobie stawiała tak wielkie zadania. która by stawiała tak wielkie zadania narodowi. O Kłótniarskim Wielkim mówiono, że zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną. Wiadomo, jaką Polskę zastaliśmy w roku 1945. Widać dziś, jaką budujemy.

Niezliczona ilość razy w ciągu tego dziesięciolecia mówiono i słuchano, wygłaszano referaty i przemówienia, pisano artykuły o socjalizmie, o Polsce Ludowej. Mówiono i pisano często źle, banalnie — frazesami i tyradami. Nie dziwnego, że wielka i piękna treść tego co mówiono i pisano, co się mówi i pisze — nieraz zeszłogigie się po ludziach bez większego już wrażenia. To źle — i nasza to wina. Ale z całą mocą i stanowczością trzeba się przeciwstawić próbom zdeprecjonowania i zdyskredytowania — pod pozorem walki z tandetną propagandą — samej idei socjalizmu. Jest wielką zasługą naszej Partii, że wnoszą tę ideę w świadomość ludzi i stępują ich w wielką armię budowniczych i bojowników nowego życia. Jest wielką zasługą naszej Partii, że jej linia generalna we wszystkich dziedzinach życia była od początku słuszną, bo oparta o słuszną naukową teorię marksizmu-leninizmu. Czy bez słusznej linii Partii byłoby możliwe wszystkie nasze sukcesy i osiągnięcia w tworzeniu wciąż rosnącej — materialnej, kulturalnej i moralnej — mocy kraju i narodu? Słusznie się potępiła lakeriaństwo w przedstawianiu naszego życia i osiągnięć 10-lecia. Ale nie mniejszym wcale błędem jest pomniejszanie wagi i zasięgu wielkiej przemiany, jaka się u nas dokonała dzięki realizacji linii Partii przez masę pracującą — pomniejszanie doniosłości olbrzymiego skoku naprzód we wszystkich dziedzinach naszego życia. Ośmieszajmy, piętnujmy i łepmy lakeriaństwo, ale przywołujmy do porządku także

tych, którzy z różnych przyczyn sięją niewiarę i pesymizm, którzy wielki wysiłek narodu chcą spostonować i wartość jego zredukować do zera. Wbrew lakeriom i defetyzom uczmy się realnie oceniać i dokonywać realnego bilansu w pozytycjach „ma” i „winien” Polskę Ludową. Taka trzeźwa buchallaria jest nam niezbędna w ocenie naszej pracy i jej dalszych perspektyw. Właśnie w imię tej trzeźwości oceny powiedzmy, że nie jesteśmy w pełni zadowoleni z dotychczasowej realizacji linii Partii, że widzimy wielkie niedobory w osiągnięciach, że powinniśmy byli lepiej i wszechstronnie wykonać nasze zadania.

Wymownym i niepokojącym wyrazem niedostatecznej efektywności naszej pracy jest np. wysoka liczba 4 (czterech) miliardów złotych nie uzyskanej akumulacji socjalistycznej w roku 1954, liczba wynikła z błędów w kierownictwie przedsiębiorstw państwowych, z niskiego poziomu pracy polityczno - wychowawczej poszczególnych organizacji partyjnych, z nieumiejętności wykorzystania materialnych i nade wszystko moralnych rezerw energii i inicjatywy, tkwiących w klasie robotniczej, w całym ludzie pracującym. Są to braki w metodach naszej pracy, a nade wszystko w stylu pracy członków Partii, w niedostatecznej więzi organizacji partyjnych z masami, w wypaczeniu leninowskich zasad i norm życia partyjnego i w ogóle życia publicznego. Na setkach i tysiącach zebrań, akademiach i wódczin Włodzimierza Lenina dużo i pięknie mówiono o tej wielkiej postaci. Czy wszyscy mówcy, czy wszystkie organizacje partyjne, zarządzające akademie leninowskie, stosując już jego nauki w codziennej praktyce, czy zgłębiły sens leninizmu, czy przeszły od słów do konkretnej ich realizacji? III Plenum KC PZPR stwierdziło, że nie.

Dużo już mówiono i pisano o uchwałach III Plenum, tu wystarczy chyba podkreślić, że rzeczą główną w tych uchwałach jest dobitne wytknięcie zaniedbań i braków w przestępowaniu leninowskich zasad pracy organizacji partyjnych, zaniedbań i braków, które w wielu ogniwach doprowadziły do rozluźnienia kontaktu między Partią a masami, do niewłaściwego, niezdrowego układu ich wzajemnych stosunków. Niedomagania te, jeśli trwają, stają się dla nas kamieniem u nogi, hamują rozwój pracy partyjnej, prowadzą do skostnienia i wyjałowienia tej

pracy, odbierając jej żywą treść, co z kolei musi się przeciw odbić ujemnie na realizacji słusznej linii Partii. Istota i sens uchwał III Plenum to właśnie zasygnalizowanie tego niebezpieczeństwa, mobilizacja całej Partii i najszerzej mas społeczeństwa do walki z wypaczeniami, do zlikwidowania dysproporcji między słuszną linią Partii a wadliwymi często metodami realizowania tej linii.

Wróg w głupocie swej zaciera ręce z radości na widok tej wielkiej batalii, jaką w obliczu całego narodu wydaliśmy naszym błędem i niedomaganiem. Ostra krytyka zjawisk i osób, bezlitosna rozprawa ze schorzeniami i wypaczeniami, to dla wroga — jak mu się wydaje — gratka nie lada, okazja, którą próbuje wygrać na naszą szkodę. Nie trzeba ukrywać, że i wśród członków Partii budzą się tu i ówdzie wątpliwości, rodzi się jakieś zażenowanie: czy takie energiczne „pranie” nie podkopie naszego autorytetu, nie osłabi naszego wpływu w społeczeństwie?

Przeliczmy się wróg, a przyjacielom mającym takie wątpliwości i obawom przypominajmy słowa Feliksa Dzierżyńskiego: „co ustrojowi młodzieckiemu wychodzi na zdrowie, to burżuazjizmowi na pohybel; możemy sobie pozwolić na luksus ujawniania braków”.

Najlepszą odpowiedź dają, zresztą zebrania organizacji partyjnych, omawiające swoją pracę nad realizacją uchwał III Plenum. Tam gdzie kierownictwo organizacji z całą partyjną odwagą analizuje przyczyny swoich błędów i poddaje je publicznej dyskusji, tam gdzie padają ostre słowa, gdzie panuje atmosfera pryncypialnej szczerości, nie przesłoniętej żadnymi względami, organizacja partyjna wychodzi z krytyki wzmocniona, zwierną się szeregi komunistów, potęguje się promieniowanie partyjne na zewnątrz. Czy to osłabia autorytet tej organizacji wśród bezpartyjnych? Wręcz przeciwnie. Bezpartyjni z uznaniem witają tę szczerość i bezkompromisowość komunistów. Ludzie widzą i doceniają, że organizacja partyjna walczy ze złem, które boli wszystkich uczciwych obywateli, że jest w narodzie siła zdolna do pokierowania tą walką, i tym bardziej skupiają się wokół Partii, tym bardziej uznają jej autorytet.

Kapitałne zagadnienie dla naszego ustroju, dla stylu i metod rządzenia w państwie dyktatury proletariatu, jakim jest Polska Ludowa — to stopień udziału w życiu publicznym jak najszerzej mas ludowych. III Plenum mocno podkreśliło rolę mas w budowaniu nowego ustroju. Model jest wyraźny: nie Partia rządząca, wydająca dyrektywy, podejmująca uchwały i wyznaczająca

kierunki działania — z jednej strony, a z drugiej — masy ślepo i „karnie” spełniające wolę Partii. Nie — tylko rozkazodawcy i tylko wykonawcy. Tak pojęty układ i metoda rządzenia to coś najzupełniej sprzecznego z leninowskim pojęciem dyktatury proletariatu, która leży u podstaw naszego ustroju. Dyktatura proletariatu, nie wypaczona przez sekciarzy i ludzi szukających „łatwych” metod rządzenia, polega na pełnym przyciągnięciu do uczestnictwa w rządzeniu, w decyzjach Partii, w określaniu kierunków działania — nie tylko całej Partii, ale wszystkich ludzi pracy. I im bardziej wzrasta w ludziach jasność celu do którego dążymy, im bardziej rozumieją czym jest socjalizm, co i kto stoi na przeszkodzie osiągnięciu go, im lepiej ludzie zdają sobie sprawę z wciąż rosnącej zacieklności walki klasowej — w kraju i na arenie międzynarodowej — tym bardziej dojrzejewają warunki po temu, by cały lud pracujący jak najbardziej masowo, czynnie i świadomie uczestniczył w sprawowaniu dyktatury proletariatu, tej niezbędnej formy rządów w okresie przejściowym od kapitalizmu do socjalizmu. Mówimy o coraz szerszej demokracji naszego życia właśnie w sensie coraz szerszego udziału mas pracujących w rządzeniu państwem demokracji ludowej jako formy dyktatury proletariatu.

Należy uświadomić masom i popularyzować wśród nich leninowskie rozumienie dyktatury proletariatu. Istotnie, jest to system surowy i bezwzględny dla wrogów ludu, dla wrogów socjalizmu, dla grup i warstw, marzących o restauracji kapitalizmu w naszym kraju, dla zdradcy ojczyzny oddających się na usługi obcych, wrogich nam ośrodków zagranicznych. W tym kierunku dyktatura proletariatu stosuje i będzie stosować metody bezwzględnej walki — nie z błędami jednostkami, lecz z świadomymi, przewrotnymi wrogami. Ale jest jeszcze inny głęboki sens, jest najbardziej zasadniczą społeczno - ideową treść dyktatury proletariatu jako metody rządzenia przeobrażającej i wychowującej, cierpliwie uświadamiającej tych co nie rozumieją, szerzącej oświatę i kulturę, wciągającej do współrządzenia miliony. Należy pamiętać o obu tych aspektach dyktatury proletariatu, gdyż oba — i tylko oba razem — stanowią jej istotę.

Do walki z wrogiem wewnętrznym i zewnętrznym mamy tak silne in-

strumenty jak — przede wszystkim — rosnącą świadomość społeczeństwa i wypróbowany w walce aparat ludowego państwa, który nas już od niejednego niebezpieczeństwa ustrzegł.

Jest jednak rozległa dziedzina bardzo ujemnych zjawisk w naszym życiu, nie spowodowanych bezpośrednio działalnością wroga czy jego agenta, lecz jakie wiele szkód przynoszących w realizacji naszych planów gospodarczych i innych. Przyczyny sprawcze tych zjawisk to nie jakieś nie dające się przewidzieć czynniki obiektywne, tylko subiektywna działalność wielu jednostek wnoszących do metod kierowania i pracy elementy jaskrawo sprzeczne z wymogami i potrzebami socjalizmu: biurokrację, niechęć do krytyki, bezduśność, pychę i sto innych cech, z którymi walczyć od dawna i polegamy w walce po III Plenum. Trzeba wyraźnie powiedzieć: jest tego dużo, tak dużo, że wielu najuczciwszym nawet ludziom przesłania to niekiedy prawdziwy obraz naszych czasów i sprawia, że za drzewami przestają widzieć las. Zdarzają się i tacy, którzy zmęczeni i zniechęceni gotowi są machnąć na wszystko ręką.

Do walki z takimi zjawiskami nie mamy specjalnego aparatu państwowego, w każdym razie nie wystarczają tu metody kontroli służbowej. Z tym wszystkim musimy się porać i uporać sami, krytykując i bezlitośnie piętnując bohaterów „Łaźni”. Majakowskiego i im podobnych. Pamięajmy przy tym, jak silnie — gdyby nie stała walka z nimi — rozrosłyby się te elementy i te zjawiska, jak chwasty, które nie wypielane zagłuszają urodzajne pole. Przeciw tym chwastom kieruje się również cała moc dyktatury proletariatu popartej przez wszystkich ludzi pracy.

Czy to prawda, że widmo komunizmu krąży po Europie? Dziś te słowa Manifestu Komunistycznego należą już do przebrzmiałej przeszłości. Widmo zmaterializowało się na olbrzymich obszarach kuli ziemskiej i straszy wrogów ludzkości już nie jako zjawia nieuchwytna, ale jako potężna siła. To raczej widmo kapitalizmu jeszcze się unosi nad światem strasząc ludzkość i grożąc jej powszechną rzezią.

W naszym kraju miliony defilujących w pchodach 1-majowych, miliony świadomych twórców nowego życia, nie chcą już wracać do dawnego.

Tadeusz Daniłowicz

MARIA DĄBROWSKA

Kilka myśli z powodu jednej książki

1. Nakiadem „Wiedzy Powszechnej” ukazała się w ostatnim kwartale 1954 roku książka J. Chudzikowskiej i J. Jastera pt. „Odkrywczy Kamerunu”. Treścią książki jest popularny opis dokonanej w latach 1882–85 śmiałej wyprawy trzech Polaków, którzy postanowili zbadać naukowo tzw. „białe plamy” zachodnio - afrykańskiej krainy niosącej nazwę Kamerunu. Choć próby opanowania tego wielkiego kraju przez różne państwa ciągną się od czasów starożytnych, w okresie podjęcia wyprawy przez polskich badaczy wewnętrzne Kamerunu było prawie nieznane. Jedyną na wybrzeżu istniała tam: handlowa faktoria niemiecka i religijna misja angielska. Obie agendy były prekursorami tzw. „zyciowego” zwycięstwa przysięgłych panów i wódców Kamerunu. Lecząc istotne, bo moralne zwycięstwo należy do polskiej wyprawy, stanowiącej godny zapamiętania czynnik w rozwoju moralności niedzicych ludów, w rozwoju prawowitej ludzkiej kultury i cywilizacji.

Inicjatorem, organizatorem i niestudowanym realizatorem wyprawy kamerunskiej był kaliszczanin, Stefan Szolc-Rogozński. Spośród wielu cnych — wiernymi towarzyszami i współuczestnikami wyprawy okazali się tylko: młody, świetnie się zapowiadający geolog, Klemens Tomczek i przyrodnik-meteorolog Leopold Janikowski. Tomczek i Rogozński mieli w chwili rozpoczęcia wyprawy po 21 lat życia. Janikowski był starszy. Mimo to, Janikowski tylko doczekał sędziwego wieku. Tomczek umarł w Kamerunie na czarną febrę tropikalną. Stefan Szolc-Rogozński umarł w Paryżu, nie dożywszy trzydziestego siódmego roku życia.

Tomczek i Rogozński zostali w wyniku przeprowadzonych po raz pierwszy badań odkrywczych nieznanego lądu członkami Towarzystwa Geograficznego Londynu i Paryża; imię ich zasłynęło w naukowej Europie, pozostało jednak nieznane szerszemu ogółowi polskiemu, chociaż w latach 1881–84 wyprawa kamerunska enluzjantowała lub gorzyla całą niemal inteligencją Warszawę. Popierał ją swoim piórem tacy pisarze jak Bolesław Prus i Henryk Sienkiewicz, jak Wacław Namkowski i redaktor „Wędrowca”, Filip Sulimierski. Ostrzyli na niej swoje pióra i przeciwnicy, tacy jak Aleksander Świętochowski, człowiek zimny i oschły, któremu idea „pracy organicznej” przeloniła wszelki romantyzm niecodziennych zamierzeń.

Wydanie książki o polskiej wyprawie kamerunskiej to wielka zasługa „Wiedzy Powszechnej”. Myślę jednak, że cenna przygoda Rogozńskiego i towarzyszy zasługuje na coś więcej. Młodemu Tomczekowi, którego przedwczesna śmierć była na pewno niepowetowana stratą dla polskiej nauki, poświęcono już pogadankę w Radio. Ale polskie „odkrycie Kamerunu” warte jest filmu, Kinetematografii naszej, która, o ile mi wiadomo, nie zrobiła dotąd ani jednego filmu z dzieł polskiej badaczy, odkrywców i podróżników, choć na te tematy dała już sporo filmów obcych, miałyby tu wspaniałe zadanie do wykonania. Egzotyzm „fabuły” i trudności z tym związane nie wydają mi się istotne; podejmujemy dziś trudniejsze zadania. Cel opłaciłby się. Cóż za źródło niezwykle wychowawczych przeżyć możemy dostarczyć naszej młodzieży w historii tego bohatera przedświata! Pomyślmy tylko! Dwu szkolnych kolegów, chłopców mających po 21 lat, planuje i urzeczywistnia wielką podróż odkrywcą w głąb niezbadanych krain. Jeden z nich, Rogozński, syn bogatego przemysłowca, rzuca w tę imprezę cały swój majątek. Uduje mu się zjednać dla swego pomysłu znakomitych pisarzy i uczonych w Polsce i za granicą. I więcej. Młodzieniec Rogozński rzuca służbę w marynarce rosyjskiej, która niewątpliwie mogłaby dopomóc młodemu niezwykle zdolności badaczowi w dokonaniu zamierzonej ekspedycji. Ale Rogozński nie chce nic zawdzięczać rządowi zaborczym. I jeszcze więcej. Rogozński odrzuca następującą mu się oferty państw zachodniej Europy, które gotowe były hojnie wyposażać młodych badaczy w zamian za oddanie wyników badań celom ich eksploatacji kolonialnej. W okresie największego nasilenia żądzy zysku, której ulega nawet nauka, młodzi polscy szalenicy odrzucają więc wszelką pokusę nie już zysku, ale jakiegoś takiego komfortu wyprawy. Zaopatrzeni tylko w rzeczy najpotrzebniejsze, ruszają w niebezpieczną podróż na zremontowanym własnymi środkami wiatrym żaglowcu. W dobie, gdy ludu pierwotne i kolorowe traktowano tylko jako przedmiot wyzysku i bydo robocze, młodoci entuzjaci wkraczają w ład afrykański z braterskimi dla tubylców uczuciami, zdobywają stopniowo ich miłość, szacunek i zaufanie. Dodajmy do tego wszystkich pasjonujących przebieg podróży oceanicznej i wędrowek po tropikalnej dżungli Kamerunu, a będziemy mieli ożywy film, który obiegłby świat. I świat dopomógłby do jego zrealizowania, wsak coraz częściej

wielkie filmy realizowane są przy współudziale kilku zaprzyjaźnionych krajów. Ta zuchwała, iście warszawska i pod warszawska bandera też odbyła wyprawa stanowi nadto świetny wątek powieści. W ogóle zresztą losy Stefana Rogozńskiego zasługują na powieść. Nawet z romansowym pierwiastkiem w postaci dziejów małżeństwa Rogozńskiego. Tylko uwaga, pisarze, bo to temat na miarę geniuszu Conrada.

2. Z kolei parę słów o samej książce „Odkrywczy Kamerunu”. Napisana jest niezłe i z najlepszymi chęćmi. Następca jednak trochę drobnych zastrzeżeń. Język mógłby być staranniejszy, jeśli już nie bardziej soczysty i twórczy. Sporo w nim wyartych zwrotów, trochę gramatycznych usterek i niewłaściwie użytych słów. Informacje biograficzne są zbyt ulamkowe, nie dość dokładne i chwilami dezorientują czytelnika. Autorzy nie całkiem też konsekwentnie postępują się cytowanymi i objaśnieniami. Przytaczając np. wypowiedzi warszawskich przyjaciół wyprawy, cytują Sulimierskiego, Nalkowskiego, Sienkiewicza, cytują również opinie przeciwnika wyprawy, Świętochowskiego. Ale nie cytują ani jednej wypowiedzi głównego rzecznika wyprawy, Bolesława Prusa, poprzestając na stwierdzeniu, że wielokrotnie pisał o niej w swoich kronikach tygodniowych. W przypisach autorzy (lub może adiutorzy) niekiedy podają znaczenie obcych słów, dziś dosyć powszechnie rozumianych, a kiedy indziej nie objaśniają słów i rzeczy mało znanych nawet wytrawnemu czytelnikowi. Wszystko to są braki łatwe do wskazania i do usunięcia w następnych wydaniach książki. Cokolwiek dłużej chciałabym się zatrzymać nad autorskim komentarzem dotyczącym osoby Rogozńskiego.

Na koncowy okres wyprawy kamerunskiej przypada, od dawna skrytyce przygotowywana, zbrojna i krwawa inwazja kolonizatorów niemieckich. Jednocześnie, zresztą, w grze Anglia, znając wpływ Rogozńskiego o tubylców, pertraktując z nim o sklonienie cacyków miejscowych do przyjęcia protektoratu angielskiego. Przeciwny w ogóle agresjom kolonialnym, ale wstrząśnięty brutalnością imperializmu niemieckiego i zdając sobie sprawę z beznadziejności nierównej walki dżid i luków z europejską techniką wojenną, Rogozński po długich wahaniach przyjął rolę mediatora. Autorzy książki dobrze odzwierciedlili ówczesny dramat Rogozńskiego i szczególne okoliczności, które wywołały jego decyzję. A jednak ostateczny sąd o Rogozńskim wypadł w książce trochę zbyt schematycznie. Tekst książki i wszystko co w niej o Rogozńskim podano nie upoważnia do skwitowania tej postaci zdaniem: „(Rogozński) działając samotnie nie dostrzegał wielkich przemian politycznych, jakim ulegał świat, i nie rozumiał ich ostatecznego celu”. To znany schemat, spotykany setki razy przy tzw. „ustawianiu” postępowych ludzi przeszłości. Schemat pożyteczny jako wtyczka, lecz który nie zwalnia od samodzielnego myślenia i którego nie można mechanicznie stosować we wszystkich konkretnych danych sytuacjach. Rogozński nie działał samotnie. Szukał towarzyszy, oparcia i współdziałania w różnych krajach i różnych środowiskach. Jeśli został w końcu z dwoma towarzyszami, jeśli oparcie znalazł tylko w garście postępowej inteligencji warszawskiej, to właśnie dlatego, że doskonale „widział i rozumiał przemiany, jakim uległ świat”, że „widział ich ostateczny cel” i wskutek tego zmuszony był odrzucić pomoc większości tych, którzy mu ją ofiarowywali. Oczywiście nie mógł szukać ani znaleźć oparcia dla wyprawy w klasie robotniczej, zwłaszcza polskiej, w której zaczynała wtedy dopiero kielkować świadomość jej przyszłej roli. A co do rozumienia, to fakty z życia Rogozńskiego i wyjątki z jego dziennika, podane przez samych autorów, świadczą wymownie o tym, że jak na swoje czasy i swój młody wiek rozumiał on w sprawie ludów kolorowych wyjątkowo wiele i patrzył w tej sprawie wyjątkowo daleko. Dodajmy natomiast, że rozumienie procesów historycznych nawet dziś nie gwarantuje bezbłędności postępowania w każdej okoliczności. Rozumienie i bezbłędne postępowanie to rzeczy współzależne, ale nie adekwatne.

3. W dalszym ciągu swego komentarza autorzy trochę może pochopnie piszą o Rogozńskim: „Niestety na swych postępowych pozycjach nie zdołał wytrwać do końca... Brakło mu szerszych horyzontów. Krytykował nadużycia systemu kolonialnego, ale nie próbował nawet podważyć jego podstaw... Nie dostrzegł żadnych możliwości walki, nie widział perspektyw choćby dalekich, „wycięstwa”. Łatwo dzisiaj tak mówić.

To że Rogozński nie zostawił na piśmie aktu wiary w przyszłe zwycięstwo idei wolności wszystkich narodów bez względu na kolor ich skóry, nie upoważnia jeszcze do pisanja o jego braku szerszych hory-

zontów i o jego bezzwycięsiowym braku nadziei. Wiare i nadzieję w możliwość innego niż eksploatorskie współzycia z ludami kolorowymi manifestował Rogozński nie słowem, ale czynem przez trzy lata pobytu w Kamerunie. Jakby nie dostrzegając tego, co sami o tym w toku książki podkreślali, a chcąc wzmacnić swój krytyczny sąd o Rogozńskim, autorzy przeciwstawiają mu amerykańskiego Johna Browna. „Wyrósł — piszą — na gruncie ograniczonego klasowo mieszczańskiego światopoglądu Stefan Rogozński nie mógł się stać polskim Johnem Brownem. Amerykański bohater walk o zniesienie niewolnictwa Murzynów dostrzegł w masach ludowych realne siły zdolne do złamania systemu przemocy i ucisku”. Ta analogia historyczna odrobinę kuleje. Przede wszystkim — różne typy psychiczne w różny sposób wypełniają pozytywne zadania życiowe, i osobiste, i publiczne. Rogozński był uczonym badaczem i podróżnikiem. John Brown, uwieczniony w polszczyźnie pięknym wierszem Norwida „Do pułkownika Johna Browna”, był z przekonania, natury i temperamentu wojownikiem i działaczem społecznym. A następnie — John Brown działał w zupełnie innych warunkach niż Rogozński. Nie miał do czynienia z egzotyczną dżunglą zamieszkaną przez ludy pierwotne, pograżone w zupełnym dzieciństwie cywilizacji, lecz z krajem cywilizowanym. I z Murzynami także już cywilizowanymi, dojrzałymi do walki o wyzwolenie i których sprawa miała sojuszników w ogromnym odłamie białego społeczeństwa Stanów Zjednoczonych. To co John Brown zapoczątkował, miało szanse zwycięstwa. Było historycznie na czasie, toteż wszczęta niebawem po jego śmierci wojna domowa przyniosła istotnie prawne zniesienie niewolnictwa. Nie pasuje też tu argument: że Rogozński nie mógł zostać polskim Johnem Brownem, bo „wyrósł na gruncie ograniczonego klasowo światopoglądu mieszczańskiego”. John Brown wyrósł na gruncie takiego samego światopoglądu. Cała sprawa zniesienia w Ameryce niewolnictwa rozegrała się na gruncie mieszczańskiego światopoglądu; wojna między północnymi, przemysłowymi, i południowymi, rolniczymi Stanami była właśnie wojną mieszczańską, jeszcze wtedy postępowego i liberalnego światopoglądu ze światopoglądem feudalno - ziemiańskim. Żałować, że Rogozński nie stał się polskim Johnem Brownem, jest to sawo właśnie, co żałować, że Beecher-Stowe, autorka „Chaty wuja Toma”, nie została drugim Johnem Brownem. Jej książka zrobiła nie mniej dla sprawy zniesienia niewolnictwa, jak śmierć Johna Bro-

wna. Gdyby Polska w czasach Rogozńskiego miała jakąkolwiek możliwość propagandy swych wartości, to dzieje jego wyprawy, jego dziennik ukazujący bratnie współzycie białego z kolorowymi, jego wreszcie osąd polityki kolonialnej byłyby bronią w podważaniu systemu kolonialnego. Tak jak były nią książki Multatulego.

Ubolewając nad „ześciem Rogozńskiego z pozycji postępowych” autorzy nasi zdają się mniemać, że w ówczesnych warunkach historycznych istniała możliwość obronienia niepodległości Kamerunu? I że nieszczesny Rogozński to za przepaścił. Nie, takiej możliwości wtedy nie było. Zdarzają się sytuacje, z których — na razie — istnieją tylko złe wyjścia. Desperat wybiera wtedy śmierć na straconej — do czasu — chociaż słusznej placówce, albo wybiera po prostu samobójstwo czy inny rodzaj ucieczki zwanej „umyciem rąk”. Meżny a przeorny człowiek albo naród wybiera wtedy. O ile może jeszcze wybierać, spośród złych wyjść — mniej złe, z nadzieją, że je przetrwa. W takim położeniu znalazł się Kamerun, a w Kamerunie — Rogozński. Spośród nieuniknionego w danych warunkach historycznych zła wybrał dla swych murzyńskich przyjaciół mniejsze, za jakie z przyczyn w tamtej epoce zrozumiałych, uznał raczej „protektorat” angielski niż krwawą podbój Bismarckowski. Nie przewidział tylko jednego, że Anglia niebawem przehdlał Kameron cesarstwem niemieckiemu. Ale poza tym zdawał sobie w pełni sprawę z grozy i ohydny położenia, czemu daje wyraz na ówczesnych kartach swego dziennika prostymi słowami uczciwego, prawdomównego człowieka. Wolelibyśmy, żeby Rogozński nie był się znalazł w takim położeniu, jak i on by to wolał. Ale nie żałujemy, że ocalały zbiory i wnikli jego wyprawy, które zostałyby zaprzepaszczone przez jego śmierć. Śmierci zaś Rogozńskiego nie bał się na pewno — wielokrotnie stawał z nią oko w oko. A ostatecznie, jak kapitalizm torował drogę socjalizmowi, tak ekspansja kolonialna wielkich mocarstw przynosiła, wbrew swym zamiarom, ludu kolorowe do emancypacji i do ich dzisiejszej walki o wolność. Bo razem z uciskiem i wyzyskiem szły do tych ludów także najlepsze prądy myśli i cywilizacji europejskiej. I tego żadni eksploatorzy nie byli w stanie powstrzymać ani zakazać.

4. A teraz, czemu książka „Odkrywczy Kamerunu”, poza ogólniejszym znaczeniem, które w niej widzę, tak niemal oświeca wżrusza mnie i przejmuję? A to temu, że osoba Szolc-Rogozńskiego, a raczej losy (Dokończenie na str. 7)

Kartki z dziennika lektury

Mój Nowodworow

JERZY ANDRZEJEWSKI

Przeglądając „Zmartywychstanie” natrafiłem w jednym z końcowych rozdziałów na następującą charakterystykę rewolucjonisty Nowodworowa:

„Umysł tego człowieka — jego licznik — był nieprzeciętny; ale jego mniemanie o sobie — jego mianownik — było niezmiernie wielkie i dawno już przerosło jego umysł... Nowodworow był pozbawiony poczucia moralnego i estetycznej miary, które wywołują u człowieka wątpliwości i wahania... Z chwilą, gdy obrał jakiś kierunek, nigdy już nie wątpił i nie wahał się, i dlatego był przekonany, że nigdy się nie myli. Wszystko wydawało mu się niezwykle proste, jasne, niewątpliwe, Ciężkość i jednostronność jego poglądów sprawiała, że wszystko istotnie było proste i jasne, i trzeba było tylko, jak mówił, być logicznym. Zarozumiałość jego była tak wielka, że mógł tylko odpychać od siebie ludzi, albo nad nimi panować...”

Nowodworow nie jest oczywiście typowym rewolucjonistą tamtych czasów, myślę wszakże, że niektóre cechy umysłu i charakteru tego człowieka, podkreślone przez Tolstoję, były i wówczas, a również są jeszcze dzisiaj dość znamienne dla pewnego typu działaczy.

W związku ze stroniczką poświęconą Nowodworowowi przypomniała mi się jedna, zresztą już dość dawna, bo chyba sprzed półtora roku rozmowa z X-em. Mówiliśmy wówczas o wielu aktualnych zagadnieniach, lecz na koniec, podobnie jak wartkie strumienie górskie spływają do jednej rzeki, tak poszczególne wątki naszej dyskusji zbiegły się na sprawie różnych ujemnych zjawisk towarzyszących i nam, i naszej rzeczywistości. Byłoby nieprawdą, gdybym powiedział, że X tych zjawisk nie dostrzegał. Owszem, widział je (albo może raczej: wiedział o nich), twierdził jednak z niezachwianą pewnością, że na naszym etapie budowy ustroju socjalistycznego i w zestawieniu z naszymi ogromnymi osiągnięciami są one raczej produktem ubocznym, nieuchronną pozostałością po czasach kapitalistycznych. Ja zaś ze swej strony, bynajmniej nie przecząc, że istotnie wiele ciemnych stron naszego życia posiada swe źródła w przeszłości, dowodziłem, że przecież obok zła starego mi sami na skutek różnych okoliczności — bynajmniej nie zawsze nieuniknionych — produkujemy nowe, własne zło, i ono właśnie, to nasze zło, jest szczególnie niepokojące, groźne i domagające się szczegółowej analizy sięgającej poza objawy — do przyczyn. Żadne jednak argumenty nie

przemawiały do mego współmówcy. Nie jestem nawet pewien, czy mnie w ogóle słuchał. Siebie słuchał, przekonany, że w jego racjach teoretycznych nie mających nic a nie wspólnego z życiem szumi wysoki lot ideologicznych skrzydeł. Tymczasem — o żalosci! — on ze swymi racjami stał jak z ciężarkami u nóg: sztywny i nieruchomy. Gdzież mu było do lotu? Tłusta kaczka wyżej by od niego pofrunęła!

Przyznaję, że począł we mnie szyć gniew. Chciało mi się z całej siły potrząsnąć X-em i zawołać: człowieku, rozejrzyj się dokoła siebie, popatrz, posłuchaj, zastanów się, czy rzeczywiście nie widzisz, że obok wielu parszywych pozostałości po dniach wczorajszych dorobiliśmy się już własnego strachu, mamy już własny mechanizm kłamstwa i fałszu, własną rozpustę, własną bezmyślność, własne złodziejstwo, własną pychę i własną nudę?

Nie potrząsnąłem jednak X-em (spróbujcie potrząsnąć kamieniem), on zaś niczym ciężką kłódką zamknął rozmowę stwierdzeniem, że nie o garniam, niestety, całosci zjawisk i w sposób naturalistyczny wyolbrzymiał uboczne i w fałszywy sposób naświetlone szczegóły. Wszystko we mnie zadrało. Ach więc tak! I czemuż to nie dostrzegam całosci? Czy dlatego, że mówiąc o plagach alkoholizmu i prostytucji nie recytuję na tym samym oddechu stu bu-dlowi sześciolatki? A dręcząc się za kłamaniami, które widzę w tyłu niemal najgorszych sercach ludzkich, nie wybucham w tym samym momencie entuzjazmem dla wszystkich naszych zdobyczy socjalnych i kulturalnych? Czy mam zawsze mówić równocześnie o wszystkim? A cóż ty, zakalcowaty gnieluch, widzisz z owej całosci? Człowieka przede wszystkim nie dostrzegasz, ludzi przelepiasz. Z teorii, która ma służyć poznaniu, skreśliłeś twardy ziemień.

Gdy rozstałem się z X-em, wydał mi się głupszy od papugi z „Kordiana”, ta bowiem nie potrafiła wprawdzie przeprowadzić żadnego teoretycznego wywodu, za to nauczyła się przynajmniej kilku okrzyków pasujących do konkretnej sytuacji. Później jednak zmieniłem o X-ie zdanie. Nie, ten człowiek nie był głupi. On tylko ułatwionym myśleniem usiłował się zabezpieczyć przed komplikacjami i trudnościami życia. Biedny, malutki Nowodworow!

Jerzy Andrzejewski

LISTY DO POLIKARPA]

JAN ŚPIEWAK

O krytykach i lirycie

Drogi Polikarpie! Otrzymałem twój list, przyszedł on szybciej niż się spodziewałem. Był inny od mego listu. Wydawało mi się, gdy pisałem do ciebie, że po wieloletniej przerwie nie należy nawiązywać do ostatnich naszych rozmów. Uplynęło przecież tyle lat. A ty sięgnąłeś właśnie do ostatniej naszej rozmowy. „Może to i lepiej. Może przez to niedokończone nasze rozmowy pogłębia się. Słowa twoje przeczytałem z dużym wzruszeniem, a te miejsca, które mnie szczególnie zainteresowały, podkreśliłem ołówkiem.

Piszesz, że chociaż jesteś zapracowany jak wszyscy lekarze, zwłaszcza w małym mieście, jednakże zawsze musisz wyznaleźć dla siebie czas na czytanie pism literackich i książek. Taką pozorną ucieczką od spraw zawodowych pozwala ci lepiej pracować, wnosi ona bowiem inne niepokoję i sprawy, z którymi się nie stykasz w swej pracy. Jak zwykle pozostając skromnym nadmieniasz, że czytasz nie jako poeta ani zawodowy krytyk, przepaszając przy tym, że sformułowania mogą być nieprecyzyjne, chociaż co tu dużo mówić, właśnie w wielu zawodowych krytyków trudno się uczyć pięknego stylu i precyzji myślenia.

Tak, rzeczywiście, powstał ostatnimi czasy w krytyce grymasny styl, łącznie, z mezną teoryjką o tzw. naukowieniu krytyki. Teoryjka ta postuluowała, aby recenzja poetycka była absolutnym i niezbitym dowodem. W praktyce zaś zamiast naukowego wywodu powstawały do wolne, a niekiedy frywolne recepty aptekarskie. Zamiast uściślenia kryteriów, wynikających z konkretnej analizy utworu, zdarzało się, że krytycy przybierali postać wyroczni, co z kolei pozwalało im mówić w sposób bezosobisty, aby nie wypowiedzieć własnego zdania na temat jakiejś książki, czy też wiersza. A przecież krytyk musi pisać przede

wszystkim od siebie i bynajmniej nie śpieszyć się z uogólnieniem. Niech pisze w liczbie pojedynczej: podoba mi się, nie podoba mi się. Niech w artykułach swoich odlatnia swoje własne zainteresowania, bez reszty.

Drogi Polikarpie, chciałbyś się dowiedzieć, jaki jest smak literacki niejednego krytyka, ciekaw jestem, jakimi doprawdy zachwycę się on utworami a dlaczego inne utwory denerwują go, nie zadowalają, nie zaspokajają. I mnie się również wydaje, że jest to problem ważny, traktowany jakoś dotychczas wstydliwie. Każdy rzetelny krytyk musi mieć, że się tak wyrażę, jakiś ideowo - artystyczny ideał i dla siebie i dla swojej twórczości. Czy zawsze tak bywa?

Nie bez pewnej złośliwości, drogi Polikarpie, porównuję swoją pracę lekarza z praktyką niejednego krytyka i cieszysz się, że taki właśnie wybrałeś sobie zawód. Piszesz, że czytanie niejednego artykułu krytycznego pomaga ci w pracy zawodowej. Kiedy przychodzi do ciebie pacjent, musisz go dokładnie poznać i zbadać. I zanim postawisz diagnozę, długo się zastanawiasz — tu przecież chodzi o żywego człowieka. A jeśli pacjent jest chory, musisz ustalić rzeczywiste przyczyny choroby, przepisując nieraz bardzo surowy tryb leczenia. Ach, gdyby niejedną lekkoomyślnie szafującą pochwałami lub naganami, udzielającą pokątnych rad pochodzą z tobą po szpitalnych salach! Tak, krytyk też musi być mądrym lekarzem widzącym przed sobą ludzką twarz piszącego.

Poruszyłeś, Polikarpie, szereg ważnych spraw i urwałeś je nagle, nie rozwiązując ani jednej. Twoje urwane zdania świadczyły o pośpiechu. To wszystko wymaga, przemyślenia, powiedzialbym, pewnych konkretnych przykładów. Domagasz się konkretnego, a mówisz na razie ogólnie-

kami. Na ten temat pojawiały się sążniste artykuły, ale sprawa była one na mnie wrażenie błędnych ogników. Nie posuwały one też sprawy naprzód.

Rozumiem, że lekarza, który interesuje się poezją, przede wszystkim ciekawia pewne jej schorzenia. Dlatego też zainteresowały mnie inne twoje uwagi, tym bardziej, że o tym samym myślałem. Dzieląc się ze mną wrażeniami z lektury tygodników literackich nawiązałeś do ostatniej naszej rozmowy, od której minęło już siedemnaście lat.

Piszesz, że czytając pisma literackie chciałbyś zacytować swoje słowa, które wtedy mówiłeś do mnie. Dostrzegasz w tym pewien paradoks i nie możesz tego sobie wytłumaczyć. Wtedy nudziła cię rozcińczona woda liryczna masowej Hoelsickowskiej produkcji, dlaczego podobną wodę liryczną dostrzegasz teraz przeglądając czasopisma?

Coś w tym jest. Gdy rozmyślałem o tym, przypomniał mi się fragment artykułu, który wtedy pisałem. Zapomniałem o nim całkowicie. A teraz jakoś pasuje. Oto on: „Rozcińczyły się ostatnimi czasy wiersze, potulna stała się liryka, wbrew stylistycznym pozorom. Odkrywczość, element dialektycznie płynny, zastępuje się konstrukcją, pojętą zresztą częstokroć schematycznie. Od schematyzacji do stylizacji i żerowania na cudzych motywach i wątkach jest tylko jeden krok. Stał też tyle ostatnio namnożyło się teatralnych ruchów i gestów. Upozowane ruchy i gesty zastąpiły mózg i serce myślącego artysty.

Wystarczy przejrzeć szeroką falą napływające nowe tomiki wierszy, aby zadać sobie pytanie, jaka jest problematyka tych utworów, jaka jest postawa twórcy? Znowu „Wschody” i „Zachody”, znowu „Wędrowki na wsi”, „Wakacje”, „Kołysanki wieczorne”. Znowu przechodzenie

obok siebie, znowu niedostrzeganie rzeczy istotnych, kombinacje najwyraźniej literackie, a więc wtórne.”

To było wtedy. A teraz? Nie piszę o szczytowych osiągnięciach naszej poezji, ale o tym nurku, który coraz szerzej rozlewa się na łamach pism i czasopiśmie. Jakże wierszyki te podobne są do tamtych. Znowu odpryski przesłodzonych krajobrazów, sprawiające wrażenie oleodruków i landszaftów, znowu takie same ponadczasowe zadumy, znowu udawanie stratosferycznych lotów, aby bronić boże, nie dotknąć ziemi. Pojawiały się również wiersze sprawiające na mnie wrażenie szkielek, które co prawda odbijają kolory i fragmenty krajobrazów, ale robią to w sposób mechaniczny, tj. taki, w którym element myślowy jest minimalny, przymglony. Prowadzi to do zwężenia problematyki utworu, a tym samym do bezcieowości liryki. Na to miejsce pojawia się dobre nam znana tania nastrojowość, wywodząca się wprost z „Modęj Polski” z jej światopoglądowym bałastem.

Dlaczego tak się stało? Dlaczego tak często czytamy wiersze jak gdyby sztucznie wyabstrahowane od współczesności, od konkretnego środowiska, pejzażu. Od konkretnych sytuacji i spraw, które w poezji również domagają się rozstrzygnięcia. Zamiast dążności do zaostrenia myśli i wzroku, pojawia się poezja „mgielki i mgławicy”. Takie odrywanie się od konkretnego odzwieczają poetę od obserwacji. A czyż bez tego można tworzyć rzetelną poezję?

Tak, drogi Polikarpie, wiele powstało w poezji naszej nieporozumienia, które wymagają przeanalizowania, jasnych i wyraźnych sformułowań. Oczywiście w prywatnej dyskusji nie udźwignie się tego. A mimo wszystko warto i trzeba o tym porozmawiać.

Jan Śpiewak

TADEUSZ KUBIAK

NADZIEJA

Dawniej poeci mówili —
Rzeka lez popłynęła
błękitna, czarna,
Ach, dziś
to już nawet nie rzeka,
to ogromny ocean.

Dawniej, gdy w miasto z katapult
miotano kamień i olów,
zdarzały się cuda.
Zstępowali z nieba wszyscy święci,
a złociste skrzydła aniołów
osłaniały jak obłok
ludzi i mury.
Ach, dziś
niebo milczy i milczy
z wysoka, z daleka,
choć ziemię chcą skruszyć,
jak lupinę orzecha.

Dawniej kochanek kochance
w rubinowej, pachnącej altance
wyplakiwał na białej piersi
całą wieczność do dna.
Ach, dziś
zamknięty w sobie jak ziarno w ziemi,
własnemu dziecku nie umiesz
opowiedzieć jednego dnia.

Dawniej —
ach, dziś idę z nadzieją w sercu,
która przed smutkiem mnie broni,
idę jak dawniej w dzieciństwie
z drewnianym pałaszem w dłoni.

ARNOLD ŚLUCKI

STROFY WIOSENNE

WIOSNA IDZIE

Wiosna idzie,
dachy parują,
sopel już spadł ostatni,
niczym rozbity świecznik.
Człowiek idzie,
kaluże omija.
Nie może przecie stać w miejscu,
jak zeszłoroczny słonecznik.

W ZIARNKU SOLI

365 dni i nocy
tężał wiosenny wiersz
i oto błysnął
w malej brylce soli
w moim domu,
srebrnym mieście moim
jak na wielkim dźwigu zawieszonym
pośród miast,
gdzie tak samo świeci
kropla potu
i ziarenko soli.

REKONWALESCENCJA

Wyszedłem
na ulicę
po bardzo długiej chorobie,
gołąb stał na chodniku,
jakby na progu świata.
Wodą i rdzą ociekały
rynny;
błysnęło,
słuchałem,
jak pęk — rozrywając się — budzi
ziemię nadziei i światła.

ALEKSANDER BAUMGARDTEN

CZARNY WIERSZ

Codziennie — wózek po wózku
Codziennie — tona po tonie
wpełza na gazet szpalty
nasz czarny górniczy wiersz,
i co dzień wyższy procent
wyrasta na pierwszej stronie
i co dzień kręca się koła
wyciągów na szczytach wież.
A to nie takie proste —
ta walka w czarnych okopach
gdy suną bagnetny świdrow
i czołgi - kombajny na front, —
i nieraz trzeba swe serce
w samotnej walce przemóc
zanim je przytkniesz do lontu
żeby zapłonął lont.
Spójrzcie na nasze życie
nad którym chodzą co dnia
weźcie je w bratnie ręce
które budują, jak my,
a wtedy może na chwilę
na chwilę własną i piękną
dojrzyćcie trud górniczy
tak bliski waszych dni.
I wtedy stanicie przy nas
przejęci, czujni, prości
po prostu: dłoń podajcie
na zły i dobry czas. —
Gdy lutniom tchu zabraknie
gdy uskok zerwie pracę
gdy tępnie strop nad głową
gdy cios wymierzy wróg —
wtedy wspomnijcie o nas
przy każdej brylce węgla
która się stoczy z wozu
pod waszych domów próg.

WISŁAWA SZYMBORSKA

MINUTA CISZY PO LUDWICE WAWRZYŃSKIEJ

— A ty dokąd,
tam już tylko dym i płomień!
— Tam jest czworo cudzych dzieci,
idę po nie!

Więc jak to —

tak odwyknąć nagle
od siebie?
od porządku dnia i nocy?
od przyszlórocznych śniegów?
od rumieńca jabłek?
od żalu za miłością,
której nigdy dosyć?

Nie żegnająca, nie żegnana
na pomoc dzieciom biegnie sama,
patrzcie, wynosi je w ramionach,
zapada w ogień po kolana,
łunę w szalonych włosach ma.

A chciała kupić bilet,
wyjechać na krótko,
napisać list,
okno otworzyć po burzy,
wydeptać ścieżkę w lesie,

nadziwić się mrówkom,
zobaczyć jak od wiatru
jezioro się mruży.

Minuta ciszy po umarłych
czasem do późnej nocy trwa.

Jestem naocznym świadkiem
lotu chmur i ptaków,
słyszę jak trawa rośnie
i umiem ją nazwać,
odczytałam miliony
drukowanych znaków,
wodziłam teleskopem
po dziwacznych gwiazdach,
tylko nikt mnie dotychczas
nie wzywał na pomoc
i jeśli pożałuję
liścia, sukni, wiersza —

Tyle wiemy o sobie
ile nas sprawdzono.
Mówię to wam
ze swego nieznanego serca.

ARTUR MIĘDZYRZECKI

WYPRAWA

Przyjacielu mój, jest jednak to wszystko,
Co pradziadowie bóstwom przypisali:
Błyski piorunów na burzliwej fali,
Łęk przed radością i konania bliskość.

Wiek nasz rozumny ku wyprawie zdąży
Na ciemne rzeki śmierci i lamentu.
Naprzeciw nas szumią jak groźne morza
Cmentarze — Atlantydy kontynentów.

Wiele już wzięliśmy szafiów i redut,
Poddal nam się pułk pokory i kłeski,
Ale i z nas niejeden padł w szeregu
Twarzą w dół, z krótkim placem niemieckim.

Usta zaciskając, chmurząc się, trudząc,
Dalej idziemy przez gąszcz i chaszcze
Przywracać myślom nieznanym i ludziom
Imię, nadzieję ziemską, sny łaskawsze.

Kto śmierci się lęka, nie dojdzie z nami;
Nim ujrzy wiatrak obracany burzą,
Przestraszonymi zdradzi się oczami,
Wróżki czarnowłose zgon mu wywróżą

On im zaufa, człowiek nierozsądny;
Chłodny nim powiew jak żdźbłem zakolysze.
A my wejdziemy w życiodajne lądy;
Cofną się krzyki wojny, straszne cizze

Pobojowisk, serc, które stygły w boleści,
Ust zamarłych przy strumieniu w parowie;
I w powietrze się uniosą ziemscy święci
Z maleńkimi kometami u powiek.

Przyjacielu mój, niech oczom nie umknie
Zadna z radości, ani jedna z grózb,
By wnuk nasz boski stanął z tęczy lukiem
W szumie ojczyzny, u wysokich zbóż.

JERZY ZAGÓRSKI

WĘDROWANIE

Jak wróbel sen uciekał spłoszony spod powieki.
Witało puste pole, bór żegnał nasepiony.
Przez jakie przeszły kraje? Przez jakie przeszły rzeki?
Zielenie tratowali, miesili żółtkłe śniegi,
Chrzęścili o miast bruki, dzwonili o pontony.

Motorom swym dawali benzynę syntetyczną
Jak ich przodkowie koniom wyschniętą trawę morską.
Już słupów z napisami na drogach nie przeliczą.
Z płonących domów wyszli podobni Bożym Biczom
I wyszli z Koloseum przez Bramę Gladiatorską.

A potem w pustych polach ciągnęli długie druty
I szyny układali, i nowych mostów luki.
Na horyzoncie w zorzach pałały nocą huty,
Zakwitał pod okienkiem dziewanny kwiat i ruty
Na burz urągowisko, zaś ludziom — dla nauki.

W Islandii, w Antarktydzie gejzery pono biją,
Wśród puszczy jest polana, w oazie wielbłąd kłęka.
Czasem oraczów dłonie przeszłości ślad rozryją.
Czasem badaczów oczy przyszłości wzór odkryją,
A ja wędruję wciąż...
Stopa do krwi już pęka.

29.XI.1954.

STEFAN GOŁĘBIEWSKI

NOWA WIOSNA

Jakże przekażę słowu,
Pojąć nie jestem w stanie —
W ostatnim czuję znowu
Pierwsze twoje spotkanie.

Nową w dawnej odkrywam,
Jakby czas mógł powracać —
Tylko bardziej prawdziwa.
Tylko młodsza po latach.

Ogarnia słońce, błękit,
Objasnia ziemię, niebo,
Gołębie skrzydła u ręki,
Gwałtowny serca trzepot.

Takiej jeszcze rok nie miał,
Jak tylko wierszem sięgam —
Jest w niej odkrywczość przemian
I odwieczna potęga.

Ożywia tyle wspomnień,
Tyle radości sprawia,
Kiedy na przelaj, bloniem,
Włosy podaje na wiatr.

Czyli ziemia to biegnie,
Czyli młodość zielona —
I zdumiony spostrzegam,
Ze ziemia i że ona.

Nowy świat się wyłonił —
Pekają pąki drzewne,
Piórem skrzydłają w dłoni
I odrzuwają śpiewne.

Teraz maj w każdym rośnie,
Teraz maj w każdym kwitnie
Nachylony ku wiosnie
Zielono i błękitnie.

Płatki strząsa na głowę,
Choć włos śnieg już oprószył,
Płatki białe, różowe
Z pierwszomajowej gruszy.



Rys. Marek Rudnicki

BOGDAN OSTROMĘCKI

* * *

Spojrzenie jedno zwykle, jak co wieczór
na małą, ciemną fotografię
stojącą tu przede mną —
i oto serce nagle niespokojnie drgnęło,
że może nie potrafię,
że może dłoń już moja nie osłoni ciebie
przed tym, co jakby grom wśród nocy toczyć się poczęło.

Kiedy tak myślę,
kiedy patrzę — nad wypukłym czołem
toczek futrzany,
a niżej oczy wąskie jak dwa skrzydełka ciemne
zarysowane leciutkimi brwiami —
i nagle już w tej chwili — nie ja tu siedzę za swym stołem
i to nie ty, Tomaszku, już przede mną
ale może w dalekim, obcym mieście — lampy krąg
i ktoś nad fotografią syna się pochyla
i milczy i patrzy i słucha serca bicia,
a za oknami noc podnosi ciężki wzrok.

Widzę twój uśmiech — wciąż przede mną lśni
lecz oto nie ma mnie i ciebie
tylko tysiące, tysiące tych nieznanych mężczyzn,
którzy na synków swoich patrzą nieruchome twarze,
gdy jedna im, jedyna cięży myśl

Miałem pisać o tobie, a raczej o mnie właśnie,
o tym, czego doznałem tamtego wieczoru
miałem pisać, żeby to jakoś ocalić — zanim uleci, zgaśnie —

Lecz piszę nie o sobie i nie o tobie, mały
lecz o spojrzeniu tych nieznanych ludzi, tych tysięcy
którzy na fotografie jakiegoś patrzą, patrzą
ze ściśniętym sercem —

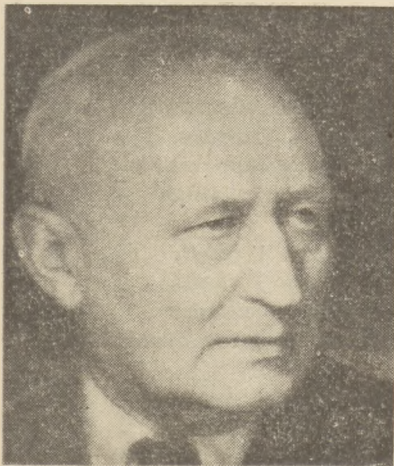
i zaciskają pięści.

I to, że tak ich teraz widzę wciąż
że oni są, że są na całej wielkiej ziemi, wszędzie
że razem z nami są, syneczku —

to właśnie i ciebie także chronić będzie,
to cię osłoni
lepiej od mych rąk.

KRZYSZTOF TEODOR TOEPLITZ

Profesor Tutka i mity



Profesora Tutkę Jerzego Szaniawskiego, książkę wydaną przez krakowskie „Wydawnictwo Literackie”, przeczytałem z prawdziwą przyjemnością. Jest w tych opowiastkach misterna robota literacka, cechująca wybitnego dramaturga, jest klimat mądrej refleksji, subtelny dowcip, pobłażliwego półśmieszku wobec życia, który to półśmieszku niezadko towarzyszy piarstwu prawdziwie humanistycznemu. I to są — nie wszystkie zresztą — zalety, które za „Profesorem Tutką” przemawiają, czyniąc z tej książki — jeśli przyłożyć do niej wielkie miary — rzeczywistego sojusznika i partnera szeroko pojętej humanistycznej twórczości literackiej. Można by o niej powiedzieć więcej jeszcze słusznych i mądrych rzeczy, co uczynili zresztą Jerzy Adamski w „Przeglądzie Kulturalnym” i Wojciech Natanson w „Twórczości”, a na pewno nie byłoby to przecenieniem pracy Szaniawskiego.

Kiedy jednak z ust jednego z piszących usłyszałem zdanie, że — jak się okazało — „pociąg z nową literaturą przyjechał nie z Nowej Huty, lecz z Krakowa, od sędziwego mistrza subtelnej konstrukcji i mądrej zadumy”, zrozumiałem, że wkroczyliśmy w dziedzinę mitologii. Skłoniło mnie to do ponownej lektury opowiadań profesora Tutki i zanotowania kilku uwag na ten temat.

Recenzenci, których prace miałem okazję czytać, podkreślają, że postać opowiadacza, stworzona przez Szaniawskiego a nazwana profesorem Tutką, jest postacią bliżej nie określona, „nie wiadomo nawet jaką specjalność naukową ten profesor uprawia”, a nie jest to ważne, dlatego że z ust jego padają sady nie dotyczące bynajmniej jakiejś dyscypliny naukowej, lecz najszerzej pojętej mechaniki życia ludzkiego, międzyludzkich stosunków i psychologicznych powikłań. To prawda. Nieprawdą jest jednak, że postać profesora jest postacią całkowicie enigmatyczną i nieokreśloną. Nieprawda to, a co więcej sam Szaniawski nie zamierzał bynajmniej tak swego profesora szkicować.

Kim jest profesor Tutka? O ze wnętrznym jego wyglądzie wiemy, że jest to starszy pan w meloniku. O jego życiu zacytować możemy z opowiadań strzępy informacji

pozwalające metodą cuvierowskiej paleontologii odtworzyć dość dokładnie jego obraz. Nie słychać nic o rodzinie profesora, jest to więc zapewne człowiek samotny. Jako młodzieniec ukończył studia, następnie zaś z tradycyjnej studenckiej miserii wybrał go spadek otrzymany po ciocie. Odbił swoje „Wanderjahre” podróżując po Europie, a nawet opuszczając kontynent, lecz we wspomnieniach jego spotkania z zagranicznymi cywilizacjami nie odgrywały roli zasadniczej. Zatrzymywał się w miejscowościach niewielkich, chylił czoło przed pomnikiem nieznanej nigdzie w świecie prowincjonalnego myśliciela Lewetara, rekwizyty nowoczesności, takie jak transatlantyk, samolot itp. odgrywały w jego opowiastkach rolę jedynie pomocniczą. Tutka jest dzieckiem cywilizacji małomiasteczkowej, zmieszanej z elementami wiejsko - ziemiankimi. Przebywając w większych miastach pozostaje nadal w kręgu towarzyskim małego miasteczka — burmistrz, aptekarz, sędzia, rejent. Nie kryje się z tym zresztą i raz nawet oświadcza wyraźnie: „Przeprawić wielką arterię, puścić tędy tłumy, tysiące pojazdów, rozrzucać ulice światłami, a wtedy w huku, loskocie, pedzie wielkiego miasta zginie dla ludzi poszczególny Tutka z jego liryka, z jego tęsknotą do Weroniki, Marianny czy Barbary” (str. 46).

Tutka jest oczywiście fikcją, metaforą, i może ktoś powiedzieć, że metafory nie wolno brać dosłownie. Słusznie, ale nie wolno negować znaczenia i wymowy metafory, których zadaniem jest przecież konkretne literackie i myślowe działanie. Jest zdobywcą punktu wyjściowego dla całości wywodu. Tutka jest takim właśnie punktem wyjściowym dla całej książki. Jego krąg życiowych doświadczeń, jego konwencjonalny życiorys staromodnego nieco, kulturalnego liberała, stwarza materiał dla wypowiedzianych uogólnień. Daje mu mądrości tyle akurat, ile przez swoje życie zdolał zgarnąć i dostarcza mu słuchacza, którego przez całe ży-

cie poznawał — sędziego, rejenta, lekarza. Ci więc, którzy z okazji „Profesora Tutki” mówią o „pociągu z nową literaturą”, popełniają jeden, nieznaczny błąd — zapominając, że ep jakiś czas historia wymienia rozkłady jazdy.

Oczywiście, tym jednym stwierdzeniem nie można zamykać sprawy Tutki. Przypatrzmy się bagażowi, który wiezie pociąg profesora. Różnorodny to bowiem i złożony towar. Nie brak wśród niego i cennych pokładów.

Zegnając profesora, opuszczającego swoich rozmówców, sędzia mówi: „W opowiadaniach swoich brałeś, zdaje się, pod uwagę te figle, te niespodzianki, chychające na człowieka zbyt pewnego siebie”. To prawda. Profesor Tutka walczy z mistyfikacjami, z naciskiem konwencji mieszczańskiej, z nieuzasadnionymi umowami. Gdy opowiada o aktorze, niewybitnej zapewne i niedostrzeganej, którą potrafił uczynić gwiazdą, przesyłając jej co wieczór bukiet kwiatów z napisem „interesującej artystce”, godzi w snobizm i zbiorowe sugestie, leżące u podstaw wielu karier. Gdy mówi o starcu, który dlatego tylko otrzymał przydomek „głębokiego”, że innym zarzucał brak głębi, zachowuje się podobnie. W drobnych wtrętach i ripostach niejednokrotnie potrafi ośmieszyć delikatnie swoich własnych rozmówców, wskazując, że są to snoby lub też atakując ich niedelikatność. Drażąc gąszcz obyczajów i umów mieszczańskich potrafi więc Tutka tu i ówdzie zaćpieć celnie i zburzyć niejedną karcianą domek. W tym też sensie staje się on pogodnym mieszczańskim moralistą, dającym w pewnym sensie do naprawy swego środowiska przez usunięcie zeń zmuszających pozostałości.

W innych opowiadaniach Tutka posuwa się dalej. Występuje jako obrońca wartości, zdaniem jego zagrożonych. Daje temu najpełniejszy wyraz w poezjalnym przemówieniu. Wspomina tam trzy osoby, które zamierza odwiedzić udając się w podróż. Jest wśród nich

ogrodnik pielęgnujący wytrwale wspaniałe rododendrony. Kwiaty te stanowią treść życia owego człowieka. Mimo że nie obce jest mu zdanie „nie czas róż płakać, gdy ploną lasy”, znajomy Tutki „płakał rododendronów”, gdy groził ich znieszczeniem dziejowy kataklizm. Drugą osobą jest kobieta czekająca na narzeczonego, który wyjechał przed laty i nie ma już nigdy wrócić. Mimo oczywistej beznadziejności wy czekiwania znajoma Tutki wciąż trwa smutna i wierna, wypatrując upragnionego powrotu. Trzecim jest wreszcie pisarz humorysta, piszący rzeczy tak zawiłe, że aż nieczytelne. Pisarz ten jest kompletnie opuszczony, żyje w nędzy, być może nawet, że już z nędzy umarł. Tutka jedzie złożyć mu hołd.

Opowiadacz odsłania się tu jako czciciel wartości przemijających, niepopularnych, niepraktycznych. W wielu innych opowiadaniach motyw ten będzie u niego powracać. W jakim celu?

O ile poprzednie opowiadania miały na celu naprawę obyczajów, te mają charakter defensywny. Opierają się one na motywie obrony wartości pozornie nieprzydatnych przed nadciągającymi czasami. Hamować mają falę nietolerancji, która zdepcze rododendrony, odbierze nadzieję smutnej czekającej, zlekceważy rację bytu niezrozumiałego humorysty. Wkraczamy tu więc w krąg historycznej polemiki, przeciwstawienia stanowisk, sporu z tym, co nadciąga.

Jest to motyw w twórczości Szaniawskiego nie nowy. Nie nowym jest również nieporozumienie, z którym mamy tu do czynienia. W uszach piszącego te uwagi „schematysty” (czytelnik zdolał to już zapewne zauważyć) pobrzmiewają jeszcze odgłosy sporów, jakie toczyły się dookoła „Dwóch teatrów”. W sporze tym krytyka marksistowska podkreślała słusznie, że autor dramatu dokonał zabiegu nieznanego na pozór, a brzemienneego w następstwa. Dyrektorowi teatru realistycznego „Małe Zwierciadło” imputował delikatnie i zresztynie poglądy, które człowiekowi temu, reprezentującemu — niewulgarny przecież nawet w intencji autora sztuki — program realizmu, winny być obce, płytkie i nawet nienawistne. Ośmieszając w ten sposób — ciągle bardzo dyskretnie — dyrektora „Małego Zwierciadła”, dostarczał autor argumentów dyrektora anty-realistycznego, czy też „więcej niż realistycznego” „Teatru Słowo”.

Podobny proces dokonuje się w niektórych opowieściach Tutki. Stając w pozie obronnej profesor zapomina, że nikt go nie zamierza atakować i choć, być może, wystrzał armatni może złamać ten łoż rododendron, to jednak strzela się również i w obronie rododendronów. I — pozwolicie, że przetłumaczę tę przenośnię na język ścisłego sformułowania — nadciągający, prawda że nie spacerowym krokiem, humanizm proletariacki, wciela w siebie również najsłabsze, naprawdę, naprawdę cenne wartości humanizmu liberalnego.

Profesor Tutka, zachowujący trzeźwość spojrzenia na swoich rozmówców w momencie, gdy do rozmowy przylączy się wizja nowego

partnera, do którego — profesor wie o tym — należy zreformowanie świata, zaczyna się płatać, widzi tego partnera innym, niż jest w rzeczywistości; przyjmuje postawę rejenta, sędziego i lekarza, wobec których potrafi przecież tak wspaniale zachowywać odrębność. Mądry i krytyczny profesor sam staje się producentem mitów.

Karol Irzykowski zwrócił kiedyś uwagę na ważną cechę stylu Szaniawskiego pisząc: „Jako poeta musi wprawdzie coś powiedzieć, wyjawiać, wyrazić, ale czyni to w taki sposób, że równocześnie jakby coś zamykał i chował: wprowadza słuchacza w krąg swoich tajemnic i kładzie mu palec na ustach: milcz, tu są rzeczy święte; niech mówią — róża”. („Lżejszy kaliber”, str. 48, „Rój” 1938). Ten trafnie podchwyciony rys piarstwa autora „Adwokata i róż” trwa również w opowieściach Tutki. Czytelnik popada w gąszcz aluzji zaskakujących, a niekiedy i świadomie odwracających uwagę od głównej tendencji point. Czuje się zaangażowany w sprawę istotną, nieomal objawioną, a jednocześnie zaszyfrowaną dokładnie, aby spełnić podwójną rolę — dać pole do domysłów wiernym i stworzyć parawan dla profanów. Ci, co odczytują aluzje Szaniawskiego prawidłowo, mogą mrugnąć do siebie okiem — „wiemy, nie powiemy”. Ci, którzy rozumieją go w sposób niekorzystny dla intencji swity „Jerzego Milczącego”, już u progu dyskusji zostaną mogą ośmieszeni — „przecież to wcale nie o to chodziło”.

Mimo tych jednak niebezpieczeństw spróbujmy, na jednym przykładzie zagłębić się w labirynt Tutkowych przypowieści. A więc profesor znajduje się wśród melomantów. Dyskutowany jest temat: jaki instrument muzyczny wywierać może największe wrażenie. Gdy rozmówcy odmawiają tych możliwości fortepianowi, profesor opowiada: płynął okretem wraz z pianistą fenomenalnym — pół Grekiem, pół Rumunem. Nadchodzi burza. Podróżni opuszczają pokład, a pianista genialny zapragnął grać. Schodzi wraz z profesorem do kabiny, gdzie stoi instrument. Nim jednak zdolał rozwinąć temat muzyczny okretem targnęła burza i fortepian toczył się począł po pochylej podłodze. Rzucany falami morskimi rozszalał się. Z instrumentu muzycznego stał się taranem, czolgim pedącym za tulącymi się do ścian profesorem i pianistą. Stał się przedmiotem zniszczenia. Profesor kończy opowieść słowami: „Proszę państwa, nie skrzypce, nie wiolonczela — ale fortepian, właśnie fortepian zrobił na mnie najpotężniejsze wrażenie w moim życiu — tego dnia, gdy szalała burza na morzu, a ten na wpół Grek na wpół Rumun pianista... wprost fenomenalny! zasiadł do fortepianu i — fortepian odjechał” (str. 9).

Zart, gra słów, oparta na wieloznaczności zwrotu na „robić wrażenie”? Można i tak to zrozumieć. Ale przecież pamiętajmy — autor Tutki coś otwiera i coś jednocześnie zamyka, wciągając w trud łamigłówek. Dając do rąk książeczkę o Tutce zaprasza do domysłów. A więc spróbujmy: fortepian — sprzęt służący sztuce, pięknu, pozwalający

cy rozwinąć skrzydła fenomenalnego pianiste. Ten fortepian staje się potworem szczerzącym zęby klawiszów, staje się narzędziem zagłady, nastającym na życie subtelności profesora i fenomenalnego pianisty. I kiedyż to wydarza się taki dziwny zbieg okoliczności? — Podczas burzy, wstrząsającej całym okretem. Jeszcze krok, a całą metaforę można odczytać w ten sposób: sztuka w czasie burzy dziejowej staje się potworem, zagrażającym tym, którzy chcieli znaleźć w niej oparcie — pianście, który chciał grać i profesorowi, który w czas burzy pragnął szukać ukojenia w koncercie. A więc: coście zrobili z fortepianem, wy, wywołujący burzę!

Można tak odczytać tę metaforę? Można. Jest to odbiór przecież dopuszczalny, prawidłowy.

Otwarcie pola dla takich interpretacji kładzie cień na opowiadania Tutki. Szaniawski, jak każdy prawdziwy pisarz, wszystko co cenne w jego twórczości zawdzięcza prawdzie. Prawdzie obserwacji spraw międzyludzkich i obserwacji psychologicznej. Ten realistyczny kruszeć, którego nie miało zgromadzić opowieści profesora Tutki stanowi pomost, po którym opowieści te dochodzą do czytelnika i mogą nań oddziaływać. Stanowią dlań uwiaryzowanie i list gwarancji. Coś podobnego być może ma na myśli profesor Tutka mówiąc, że aby nie stracić kontaktu ze słuchaczami stara się, by co najmniej trzy czwarte tego, co opowiada, było zrozumiałe. Niebezpieczne jest jednak zjawisko, kiedy owa jedna czwarta opowiadania, która pozostaje do domysłu czytelnika staje w sprzeczności z poprzednimi trzema czwartymi. Gdy — mówiąc inaczej — na materiale realistycznej obserwacji wyrasta wniosek fałszywy, błędny, wywołujący właśnie niedostatek prawdy. Bo przecież tak właśnie trzeba określić niezrozumienie faktu, że mimo wszystkich dopełnionych błędów, których nie wolno nie widzieć, właśnie w czasie burzy, więcej — właśnie dzięki burzy fortepian pół Greka pół Rumuna otrzymał możliwość naprawdę pięknego koncertowania.

*

Zastanawiam się nad sprawą „Profesora Tutki” i widzę w niej, jak w soczewce, skupione niektóre, niebłędne, grzechy naszej polityki kulturalnej. Dlaczego Tutka stać się mógł dla niektórych objawieniem? Bo dookoła tej książki, jak i dookoła jej autora w pewnym okresie niezbyt dalekowszereczni urzędnicy wytworzyli nastrój indeksu. Słepota tych, którzy zbyt łatwo odcięli się od wartości humanistycznych kwiatów w wybornej sztuce pisania Jerzego Szaniawskiego, zwraca się dziś z nawłazką w postaci ślepoty tych, którzy padają na twarz przed Tutkowymi przypowieściami. A przecież chyba powinno być tak: Wydawać? — Oczywiście, bo to wartościowe, nawet miejscami i piękne ładunkiem realistycznej obserwacji. A dyskutować, z pozycji nowych czasów i nowej literatury, która, wbrew wszystkiemu, nadejść może jedynie „z Nowej Huty”! Kończymy!

Krzysztof Teodor Toeplitz

STANISŁAW KOLSKA SREBRNY PTAK (Plagiat ze „Złotego lisa”)

O s o b y : Grześ, Łukasz, Krzys, Rodzice, Przyjaciel Rodziców, Elza, Zolnierz, Oficer.

Gdy przeszło pierwsze oszłomienie wywołane uderzeniem i upadkiem Grześ zorientował się, że cudem uniknął śmierci.

— Globus to on ma nie od parady, ten szofer — pomyślał z zadowoleniem — fajny typ. zna się na swojej maszynce, taki to pewnie i sto pięćdziesiąt tysięcy przejeżdża bez kapitalnego remontu — chwalił go sobie z uznaniem. — Musiał ostro zakręcić, przecież tam było tak ciasno, że gdybyśmy nie trafił na takiego przytomniaka, zostałaby po mnie tylko mokra plama.

Nie roztrząsał jednak długo wypadku. Myśli Grzesia znów zaczęły krążyć wokół treści dzisiejszej lekcji wychowawczej, kiedy to nauczyciel opowiedział im historię aresztu swego przyjaciela — komunisty w roku 1935.

Wiedząc jak to nauczyciel powiedział? „Największa na świecie siła, to siła moralna. Daje ją świadomość wielkości i słuszności idei, której się broni”. Wydaje się, że to takie trudne do zapamiętania, a naprawdę łatwiej niż na przykład co to jest bifurkacja wodna. Ile to się namęczył, zanim zapamiętał o tej bifurkacji tych dwóch rzek w Ameryce Południowej. „Tak go męczyli, żeby wydał kto od niego odbił te ulotki, a on miał tę siłę moralną i nikogo nie wydał, nie nie powiedział”.

W tym miejscu Grześ aż przystanął na środku ulicy. — A ja — pomyślał — czy miałbym tę siłę moralną, gdyby mnie tak jak jego postawili na cmentarzu nad rozkop-

na mogiłą, wycelowali lufy i krzyknęli: — strzelamy jak nie powiesz? — Wzdrygnął się cały, bo ujrzał blask wycelowanych w siebie luf i dokładnie poczuł dotyk chłodnego żelaza. Wątpliwości co do własnej siły moralnej wyraziły się w bolesnym skurczu dwunastoletniego serca. Stanowczą decyzją, którą powziął w tej samej chwili, spłynęła nań takim spokojem, że po raz pierwszy od opuszczenia szkoły i godzinnego błagania się po ulicach rozejrzał się przytomnie wokół siebie.

Gdy wrócił do domu, z zadowoleniem stwierdził, że jest sam jeden. Ojciec zostawił na stole kartkę, że wezwano go właśnie do jakiegoś nagłego operacji, matka jeszcze rano uprzedziła, że będzie miała w szkole nauczycielską konferencję, nieobecność Łukasza nasuwała przypuszczenie, że znów po przedszkolu zawędrował na Wybrzeże, po którym stałe się włóczył ze swą ukochaną Ewilką.

Grześ przełknął kawałek chleba z serem, popił zimnym mlekiem, odrobił prędko pisemne lekcje i miał właśnie, korzystając z samotności, zabrać się do urczywiania swego zamiaru, kiedy przypomniał sobie, że ma bilet do kina na ośm. Nie spiesząc się nakładał wiatrówkę, gdy wzrok jego padł na leżącą na stole kartkę. Kartka, którą przyniosła widocznie ojciec, przedstawiała śnieżnobiały, nieco nastrożonego, czubatego gołębia. Jego jedyne oko (gołąb namalowany był z profilu) zwrócone na patrzającego pełne było wyrazu czujności i mądrości. Grześ znalazł już te reprodukcje i prawdopodobnie nie użysztawiał sobie jasno wrażenia, jakie obraz na nim wywierał. W

głowie płątały mu się echa zasłyszanej kiedyś rozmowy ojca z jego przyjacielem, malarzem Rostkowskim, który tak właśnie interpretował siłę oddziaływania gołębia Picasso.

— Spójrz — mówił wtedy malarz do ojca, wchirząc i tak już wzburzoną czuprynę — zarzucają temu gołębiowi, że jest zbyt statyczny. Głupi, nie nie rozumieją. To nie jest gołąb pacyfistów. Ten gołąb gotów jest z orlą siłą bronić spokoju swych piskląt i gniazda.

Wracając z kina Grześ łamał sobie głowę nad tym, gdzie mógł schować świecę i zapalki, które zgodził z zasadą „może się przydać” specjalnie sobie zatrzymał, kiedy matka posłała go do piwnicy po kartofle. Wreszcie przypomniał sobie: w pudełku z trampkami, w szafie, na górnej półce. Śmiało, stukając trochę za głośno butami, wszedł do pokoju i zapaliwszy górne światło zauważył natychmiast, że Łukasz jeszcze nie śpi. — Ten smarkacz nie śpi w najwłaściwszej dla mnie chwili — pomyślał i drżącym z rozpaczy głosem zapytał:

— Nie śpisz? Dlaczego? Już po dziesiątej.

A Łukasz zupełnie przytomnym głosem mruknął:

— Śpię.

Grześ zrezygnowany usiadł na tapczanie i zabrał się do rozsiewania butów, rozmyślając nad tym, czy uda mu się wyciągnąć niepostrzeżenie dla Łukasza świecę i zapalki z szafy, gdy w korytarzyku, przy którym mieściła się łazienka, rozległy się kroki matki. Nadzieja znów zapłonęła w sercu Grzesia.

— Mamo, Łukasz nie śpi — zawołał natychmiast.

Oczywiście matka zajrzała do pokoju. Była jeszcze w płaszczu, widocznie dopiero co wróciła do domu. Gdy podeszła do łóżka Łukasza, Grześ, już bez butów, też się tam znalazł.

— Musi mieć gorączkę, patrz jakie ma czerwone uszy — powiedział w nadziei, że Łukasz, gdy tylko usłyszy, że ma mierzwy temperaturę, da nura pod kołdrę i z dwójką z niego będzie wolał spać.

Podstęp jednak się nie udał. Matka przylgnęła się chwilę Łukaszowi, dotknęła dłonią jego czoła i stwierdziwszy, że jest chłodne, dla porządku spytała się dziecka czy nie go nie boli. Gdy Łukasz potrząsnął przecząco głową, nachyliwszy się nad nim, poprawiła mu kołdrę i pocałowała go w czoło.

— Śpij synku, późno już. Po czym zwróciła się do Grzesia.

— Zgasz Grzesiu, górne światło, Łukasz zaraz zaśnie.

— A właśnie, zaśnie. Mnie na złość będzie czuwał — myślał gorzko, zaprawiona drobnoukłą kroplą niezadowolenia z siebie, że w nieudany podstęp wciągnął matkę. Nie na tym jednak skończyły się jego niepowodzenia, pochowy to był wieczór.

Matka mówiła:

— Grześ, ile razy była mowa, żebyś nie rozrzucał swoich rzeczy po wszystkich kątach?

— Ja rozrzucać? — zdziwił się Grześ zmieszany, że nic nie wychodzi z wszystkich jego postanowień o nieprzysparzaniu kłopotów i pracy matce. Powoli zbierał poszczególne części garderoby, które zawędrowały do miejsc raczej przypadkowych.

— A buty należałoby oczyścić — zauważyła matka i nie czekając na odpowiedź Grzesia zapaliła nocną lampkę przy tapczanie, po czym zgasiła górne światło.

— A w czym ja mam spać — jęknął Grześ zdruzgotany nawalaniem niepowodzeń — przecież zabralas piżamę do prania.

Matka pokiwiała współczująco głową i nie podejrzewając zupełnie efektu swych słów powiedziała:

— To nie wiesz, że druga czysta leży w szafie?

Grzesiowi szybko zabolał serce. Szała, a więc może się zbliżyć do szafy bez wzbudzenia podejrzeń wścibskiego Łukasza. A więc zdają się takie niespodziewane sytuacje. Gdy stracił już wszelką nadzieję, że uda mu się dziś jeszcze... Gdy się zdawało, że droga do szafy najeżona jest niepokonanymi przeszkodami, znalazło się tak proste wyjście. Piżama w szafie. Aby narzucić sobie tak potrzebny murek spokoj, słumieć przyspieszone bicie serca, Grześ starannie poskładał rzeczy, zacielił na noc tapczan, po czym spokojnie skierował się do szafy. Wyjął z pudełka leżącą przy trampkach grubą, do jednej trzeciej wypaloną świecę tudzież zapalki, i zabrawszy piżamę i buty skierował się ku łazience.

Zaczął od butów. Wycisnął je na glanc, z uznaniem dla swej pracy obejrzał je ze wszystkich stron pod światło, po czym starannie umył ręce mydłem, pumeksem i szczołeczką i wytarł je dokładnie włochatym ręcznikiem. Potem zapalił świecę, przy pomocy kilku kropel roztopionej stearyny przytwierdził ją mocno do porcelanowej półeczki nad umywalką, zacerpnął głęboko tchu i szybkim zdecydowanym ruchem wyciągnął nad płomieniem dłoń. Po chwili łazienkę wypełnił ostry swąd.

Później, już w ciemnościach, Grześ długo leżał wypalony aż do końca palców owym bezgłosnym, a przecież w jakiś niezwykły sposób śpiewającym szczęściem. Dłoń piekła go okrutnie. Ostro ból w niczym jednak nie przeszkadzał tej fali zalewającego go szczęścia, które wylewało się zeń jak woda z przepełnionego naczynia. I płynął wraz z pościelą na jego rozlewających się coraz szerzej, coraz dalej falach, a przed oczami migając zaczęły początkowo złote iskry, które układały się w promienie, a te z kolei, stopniowo, w gorący napis, z którego bila tak oślepiająca luna,

że w jej blaskach z wielkim tylko trudem potrafił Grześ odczytać: „SIŁA MORALNA IDEI”. A potem Grześ zobaczył, że kropka nad ostatnią literą napisu pęcznieje, rozrastając się w złotą kulę, która nagle z wielkim hukiem pękła, a z niej, potrzaskując czubem i tocząc wokoło czujnym okiem wyszedł srebrnopyły gołąb. Zauważywszy Grzesia gołąb rozwinął skrzydła i zaczął powoli krążyć nad jego głową, powodując lekki wietrzyk. Grześ westchnął z wdzięcznością, było mu bowiem bardzo gorąco.

Nazajutrz za kwadrans siódma próżno terkotał przy tapczanie Grzesia budzik, na którego dźwięk chłopiec codziennie zrywał się od razu. Długo trwające terkotanie zbudziło wreszcie Łukasza, który w pierwszej chwili, jeszcze odrzucony sennością, nie mógł zrozumieć co się stało. W godzinach rannych obowiązywał rodzinie raz na zawsze ustalony porządek. Najwcześniej wstawała matka i ona pierwsza zajmowała łazienkę, potem gołił się i brał prysznic ojciec, a matka przygotowywała przez ten czas śniadanie, znajdując jednak wolne chwile, aby obu chłopcom przypominać o konieczności pospiechu. Z odgłosów dochodzących z kuchni i łazienki Łukasz wnioskował, że jest już późno, a jego brat jeszcze śpi.

— Grzesiu, Grzesiu — zawołał, a nie otrzymawszy odpowiedzi z okrzykiem, a — śpiochu — zerwał się z łóżka w zamiarze ściągnięcia z brata koca.

Gdy matka zaniepokojona, czy dzieci się nie spóźnią, weszła do pokoju, zobaczyła przy tapczanie Łukasza z bosymi nóżkami i zniechęconą w powietrzu rączką, z lękiem wpatrującego się w twarz brata. Zapadła twarz Grzesia z podkrążonymi oczyma i spieczonymi ustami, z których z trudem wydobywał się oddech, ostro odcinała się od poduszki. Po wyciągniętej i

WŁADYSŁAW ŻEŚLAWSKI

S z c z e ś c i e

Pan się pytał o to szczęście ludzkie. No, dobrze a ja pana zapytam, a skąd stara, nieuczona Żydówka, Maszka Lapko może wiedzieć takie rzeczy, co? Skąd? No, sam pan powiedz. Pan na pewno szkoły duże kończył, pan się uczył nie przymierzając tak długo jak mój ojciec Abram Lapko, co on w hederze żydowskie dzieci religii żydowskiej uczył, on się tak dużo, tak dużo się uczył, że on cały tłum i wiele pobożnych ksiąg na pamięć umiał. Jego sam rabin w Kowlu poważał, z nim ten rabin rozmawiał, on często Abrama Lapko do siebie wołał i się go pytał... O co się pytał rabin Abrama Lapko? A bo ja wiem? O różne rzeczy. A może też o to szczęście ludzkie? On się przecież mógł zapytać: „Abram, ty mi powiedz, ty powiedz swojemu rabinowi, gdzie jest szczęście ludzkie”. A co mógł powiedzieć mój błogosławionej pamięci ojciec na takie pytanie rabinowi? No, ja tak nieraz o tym myślę. Ja sobie myślę, myślę i myślę, że Abram Lapko, ten biedny żydowski nauczyciel w hederze tak odpowiedział rabinowi: „Bóg mi pobłogosławił i dał siedmioro dzieci”. „No?” — pyta dalej rabin. „I te dzieci to jest moje szczęście” — odpowiedział mój ojciec. I on był szczęśliwy i nieszczęśliwy zarazem...

Rozmawialiśmy najpierw w małej kłite, która przylegała do tak zwanego biura przepustek kopalni, a potem — ponieważ kłitka zajęta została przez strażników, którzy przyszli do służby na drugą zmianę — przeniesliśmy się do punktu opatrunkowego. — No, tu nam może nikt nie będzie przeszkadzał — powiedziała Maszka i usiadła przy oknie na małej, obitej czarną ceratą kozetce. Mnie wskazała ręką rachityczny fotel, na którym normalnie urzęduje sanitariusz. Kończyła się już pierwsza zmiana w kopalni. Ci, którzy przyszli na drugą, byli już na pewno na nadszymbiu i zjeżdżali w tej chwili pod ziemię; ci z pierwszej szli grupkami do łaźni. Mieli na głowach jeszcze hełmy, niektórzy uwieszone na paskach lampy, trzech sztygarów kłociło się między sobą o coś stukając z podniecenia sztygarskimi kilofkami. Przez głośnik umieszczony nad portiernią kopalniani spiker ochrypłym głosem nadawał jakiś komunikat. W jego głosie czuć było zdenerwowanie, którego źródło wyjaśniło się w pewnym momencie: zapomniał bowiem zamknąć mikrofon i usłyszał: „Gdzie ty się obijasz!” W tej chwili zorientował się jednak, że mikrofon jest otwarty, gdyż na chwilę w głośniku zapanowała zupełna cisza, a potem czysty, ładny głos kobiecy ogłosił: „Podaje wykony oddziałów za pierwszą zmianę.” Wyciągnąłem do Maszki Lapko pudełko z papierosami.

— Czy pani pali?
— Pali...
Spikerka wymieniała teraz jakieś cyfry, a następnie podała do wiadomości, że dla oddziału VI-go nada teraz płytę.

— U nas szósty najlepiej teraz ciągnie, powinien pan, ja panu to mówię, powinien pan zjechać do nich — przerwała kobieta. — No, trzeba zjechać...

— Czasu już nie mam, pani Mario. Dzisiaj wieczorem wracam do Warszawy.

— Aj, to szkoda, to wielka szkoda...

Siedzę naprzeciw Maszki i patrzę w jej duże, błyszczące o kolorze orzechów oczy. Nie widzę jej zniszczonej piegawatej twarzy, nie do-

strzegam ryżych nieuporządkowanych pod kraciastą chustką włosów, nie rążają już jej bezżebne usta. Ma na sobie ciepłe, porządne palto, buty z futerkiem wewnątrz, a na kolanach spoczywają ciężko, spokojnie silne, wypracowane ręce.

Pierwszego dnia, kiedy przyszedłem do kopalni i stanąłem przed okienkiem kłitki po przepustkę, prawie z żalem myślałem: „Boże, ależ to brzydula!... Nie dostrzegłem wtedy tych oczu, parę pytań rzucanych mi zza okienka zabrzmiało ostro i podejrzliwie. Następnego dnia idąc po raz drugi do kopalni uprzytomniłem sobie, że poprzede nie zwróciłem przecież przepustki. Skorzystałem z uprzejmości dyrektora i wróciłem do hotelu samochodem. Na śmierć zapomniałem o żółtej kartce papieru, którą należało przy opuszczaniu obiektu wręczyć strażnikowi.

— A ja się tu pytam, a ja się tu martwię, gdzie jest przepustka. Ja to wszystko przecież muszę wkładać z powrotem, ja pilnuję, żeby nic nie zgineło, u Maszki wszystko musi być w porządku... — przywitała mnie potokiem słów. Brzmiała w nich i drobna wymówka, że tak porządnie wyglądający człowiek zapomniał o zwróceniu kartki. — Jeszcze raz do dyrektora?

— Jeszcze i na dzisiaj proszę.

Sięgnęła po pióro i nie pytając o nazwisko zaczęła wypisywać nową przepustkę. Wolno to jakoś szło, z namysłem, z uwagą na zsuniętych brwiach.

— Och, trudne nazwisko dla mnie — powiedziała, na moment podnosząc tylko głowę. I wtedy to dostrzegłem te przepiękne, orzechowej barwy, bardzo inteligentne oczy. Nie było już w nich wyrzutu, uśmiech za to jakiś, pogoda, radość.

— Pan mnie rozumiesz, jak ja napiszę bez błędu takie trudne nazwisko, to tak jakby... no, to tak jakby w szkole dyktando. Rozumiesz pan?

Nie bardzo rozumiałem — przyznaję szczerze. Co ma moje nazwisko z dyktandem i szkołą? Kobieta miała natomiast świetną pamięć. Pamiętała moje imię i nazwisko, miejsce zamieszkania, instytucję, z której przybywałem.

— No, sprawdzaj pan, jest błąd?

— Podała mi nową przepustkę.

— Nie.

Wszystko na niej było napisane niewinnym, trochę dziecięcym charakterem pisma. W wyrazach jednak ani jednego błędu ortograficznego.

— Co. Umie Maszka Lapko pisać, co?

Glupio mi było zapytać: czyżby Maszka Lapko była dotąd analfabeta?

— To trzy, może cztery miesiące temu przychodził do mnie sekretarz i tak mówi: „No, Maszka, ty się musisz nauczyć pisać i czytać”. To ja mówię: „Dlaczego? Dlaczego — przecież ja już jestem taka stara, że ten obowiązek już mnie, Maszki, nie dotyczy. To on, ten sekretarz, mówi: Maszka, wy już siadajecie i się uczcie. Wy się uczcie, bo jak długo Maszka Lapko może pracować na wartowni, co?” No, ja tam robiłam 8 lat, ja tam dobrze robiłam, dobrze zarabiałam, mnie dawali nagrody, sam dyrektor dawał te nagrody, mnie kładł dali, a Maszka Lapko nie umiała pisać...

Miałem więc tego dnia przepustkę po raz drugi do kopalni, miałem zamiar zjechać na dół, myślałem o rozmowie z niektórymi górnikami, umówiłem się z pewnym sztygarem — i nie zjechałem. Nie wszedłem na teren kopalni, zostałem jakiś czas przy okienku, gdzie wydawała przepustki Maszka Lapko, potem przeniesiliśmy się do kłitki, a potem siedzieliśmy długo w pokoiku sanitariusza. Kopalniani plac pustoszał powoli z górników z pierwszego zmiaru, rzęgotali po nim jedynie przeciągane małą lokomotywką wózki wywożące mul, sapaly kompresory na wentylacyjnym szybie, szumiało rozpedzone koło na wieży, kiedy win-

ja panu powiem: on był szczęśliwy, bo on kochał dzieci, a był nieszczęśliwy, bo te dzieci (nas było siedmioro, a ja najstarsza), te dzieci to się przewracali z głodu, pan wiesz? On tak mało zarabiał, że te dzieci, że ja, moja siostra Ryfka, Icuś, Benek, Abramek, Różia, Hańcia, to one się z głodu przewracali. Tak. Mój ojciec, Abram Lapko był pobożnym Żydem, on się wciąż uczył, wciąż czytał, on cały talmud i pobożne żydowskie księgi na pamięć znał, on z rabinem rozmawiał, on się modlił, on się smucił, on się cieszył... Pobożni Żydzi przynosili ojcu na szabas chleb, kawałek ryby, ojciec to dzielił, matka płakała...

wę łapał. To ojciec się wtedy najwięcej cieszył. On się cieszył, tak się cieszył, że aż tańczył z tej radości po izbie.

— Pan się pytał o to szczęście ludzkie.

Nie, ja się nie pytałem o to szczęście. To Maszka Lapko pytała się o to szczęście samej siebie. Rozmowa ze mną była tylko pretekstem do tego. Całe życie pytała się Maszka, gdzie tkwi to szczęście. Czy może w tym, kiedy poznała męża i poczuła w łonie po raz pierwszy płód? Czy może w tym, kiedy widziała go na ulicy jak szedł taki wysoki, szczupły, lekko zgarbiony...

— On śpiewał, pan by musiał



rys. Danuta Konwicka

dy wyciągowe były w ruchu. Gdzieś z boku widać było przez okno płomienie z huty i aż tutaj dochodził zapach prażonej rudy. Zmierzch zapadał szybko, słońce roztopiło na ulicach resztki śniegu, nad szczytami gór ciągnęły się chmury dymy z kominów.

Nie poszedłem już do kopalni, gdyż słuchałem opowieści dziwnej, o losie i życiu starej żydowskiej kobiety.

— To pan się dziwisz, że mój ojciec, kiedy tak może rozmawiał z rabinem, to on był szczęśliwy i nieszczęśliwy, co? Pan się dziwisz? To

Nie robiłem notatek z opowieści, którą słyszałem. Nie zanotuję ludzkiego życia w kłitkunastu zdaniach. Zmierzch zresztą zapadał. Nie zapaliłem światła w pokoiku sanitariusza. Nie chciałem przerywać zresztą kobiecie opowieści o tym, jak wyszła do dużego miasta na służbę. I Różia poszła, i Hańcia, Icuśa targła za uszy i pejsy czapnik, u którego był w terminie. A mały Benek umarł w trzydziestym czwartym. A jakie to było mądre dziecko. On zadawał Abramowi Łapce takie pytania, on zadawał takie pytania, że ojciec aż się do głó-

usłyszeć, jak Izaak śpiewał. Był bardzo silny, taki silny, że on mnie brał na ręce, jak dziecko, jak dziewczynkę jaką... Mieszkał na Chłodnej, a ja służyłam na Marszałkowskiej, on był bardzo dobry człowiek. On uciekł od Hitlera i mówił...

Czy może szczęście tkwiło w tym, że kiedy Maszka szła raz w pochodzie — była już w szóstym miesiącu ciąży — tak zapatrzona w swojego męża w pierwszych szeregach, i kiedy banda endeckich chuliganów napadła na pochód, a Maszkę uderzył jeden butelką w głowę — to upadła i podniósł ją

odrzuconej w bok ręce przebiegały drgania, ze skurczonoj, nabrzmiałej i czerwonej dłoni buchał żar. Na widok okropnej rany obejmującej prawie całe wnętrze dłoni matka krzyknęła, a do pokoju wbiegł ojciec z przewieszonym przez ramię ręcznikiem.

Rana przedstawiała się poważnie, ale nie niebezpiecznie — stwierdził ojciec i zabrał się energicznie do opatrzenia jej.

Znalezione w łaźni reszki świecy i zapalaki wyraźnie wskazywały na źródło wypadku, ale żadne perswazje i nalegania nie mogły zmusić Grzesia, aby opowiedział w jaki sposób do wypadku doszło. Rodzice zrezygnowali z doświadczenia, licząc, że przypadek wyjaśni sprawę. W domu życie wróciło w utarte koleiny. Tylko Grześ po rannym opatrunku stając do konywanym przez ojca, pozostawał w domu sam. Ojciec zwrócił uwagę, że chłopiec, od chwili gdy spadła temperatura, bez skrzywienia znosi bolesne jeszcze manipulacje przy oczyszczaniu rany.

Grześ bardzo polubił te samotne dni w domu. Początkowo nie chciał mu się nawet czytać. Leżał cicho i zamknięty w sobie, wstrzymywał oddech, starając się odepchnąć zmysły od otaczających go przedmiotów, aż nadechodziła ta niezapomniana i niestety niepowtarzalna w pełni fala szczęścia, po której kołysał się ówczesnego wieczoru. Umiał już pod zamkniętymi powiekami wywolać goręcej napis, wyraźnie przypominał sobie i niejako materialnie widział wypluwające z jego ciała i coraz szerzej rozlewające się błękitne fale, których łagodny, kołyszący rytm, zdawało się już, już, za chwilę, udzielić w jego samemu. I nieodmiennie w tej samej chwili zjawiał się skądś srebrnobiały, lekko nastrożony, z buńczucznym czubem neruchomy gołąb, który madre spojrzenie zapalał wprost w jego oko.

A potem Grześ odkrył książki,

Pewnego razu sprzykrzyło mu się leżenie, wstał z łóżka i z nudów zaczął grzebać na półkach z książkami rodziców. Otworzył się przed nim nowy świat. Zwłaszcza wiele przeżyć dostarczyły mu książki matki. Głównym zbiorem rozmaitych starych antologii i wypisów zawdzięczał swe pierwsze najgorętsze wzruszenia. Pewnego razu przeczytał wiersz węgierskiego poety „Biała szata”. Leżąc potem w łóżku cichutko powtarzał, poruszając bezgłośnie wargami „... i szedł na szafot i jeszcze się śmiał...”. Potem przyszła kolej na „Szerzenia” Voynich. W niektórych miejscach musiał na chwilę odkładać książkę, bo łyż zalewające oczy uniemożliwiały czytanie. Wreszcie otworzyła przed nim swe tajemnicze historię. Bohaterstwo przypuściło do Grzesia szturm. Czasami zdawało mu się, że przeszłość zaludniał tytani. Z prochu i pyłu powstaje Spartakus i na potężnych i dumnych patryjuszów rzymskich wyprawdza dziesiątki tysięcy niewolników. Prostują skrzywdzeni i poniżeni zgiele grzbiety, zrzucają łachmany i szmaty, wdziewają lśniące zbroje, nie chcą być więcej w poniżeniu. A oto Giordano Bruno płonie na stosie, bo nie chce się wyrzec prawdy, a odzew mu daje w lochach inkwizycji Galileo Galilei: — E pur si muove. W głębi afrykańskiego ładu ludzie polują na ludzi. Tysiące Murzynów chwytają w najprzemysłniejszy sposób, łowią na laso, ładują na statki, i w łoku i brudzie, w głodzie i smrodzie, nieczym by było, wiozą po szerokim oceanie na inny kontynent. Świszczą bat plantatora nad lśnjącymi od potu, pochylonymi w znoju grzbietami. I nagle zrywają się niewolnicy, prostują się grzbiety i jak wicher, jak burza, pędzą do walki — DO BRONII! O WOLNOSC! O CHLEB! — z płonącymi oczyma śledzi Grześ rozwijający się przed nim poprzez stulecia film walki o wolność.

Zdawało się, książki same pchały się Grzesiowi w ręce. Oto na obrazie Matejki Kościuszko w chłopskiej sukmanie z wzniesionymi ku niebu oczami i mieczem, otoczony tłumem kosynierów, składa przysięgę na rynku krakowskim. Oto Kniewski, Rutkowski i Hibner stoją nieustraszeni przed plutonem egzekucyjnym. Z czasów ostatniej wojny najbardziej wstrząsnął chłopcem bezgłośnie krzyk, wprost w twarz hitlerowskim oprawcom, z zagipsowanych ust bohaterów w papierowych koszulach.

„NIE ZGINEŁA...”

Nowoodkryty świat tak pochłoniął Grzesia, że życie jego jakby się odwróciło. Było to tak, jakby w zwierciadle odżyło jego lustrzane odbicie, a on, żywy, z krwi i ciała Grześ, zamienił się w swój własny obraz.

Do tego świata na opak wdzierało się jednak od czasu do czasu życie domu i szkoły. Odczuwał to wówczas tak, jak normalnie przeżywa się jakiś bardzo realistyczny sen. Głęboka czułość wzbierała w nim nieraz w takich chwilach, zwłaszcza dla Łukasza. Jednak wrodzona skrytość jak nieprzebyta bariera odrzucała go od brata, na którego dziecinne zaczepki reagował z tym większą szorstkością, im bardziej łamał się z przezwyciężeniem jej. W tym właśnie czasie Łukasz wymyślił sobie jakąś historię o złotym lisie i opowiadał matce, jemu, Grzesiowi, i Emilce, że widział złotego lisa. — Piękniejsze, prawdziwe bajki ci opowiem — przyrzekał bratu w duszy Grześ, ale nie z tego nie wychodziło.

Gdy wrócił już do normalnych zajęć, niechętnie wracał myślami do historii z święcą. Ale z samego faktu, że wyszedł z próby zwycięsko, czerpał przekonanie, że potrafi stawić czoła niebezpieczeństwom czekającym go w niezwykłych czy-

nach. A że czegoś niezwykłego dokona, o tym nie wątpił.

Wiele razy gorąco pragnął rozmówić się z matką. Nie o swoich marzeniach na przyszłość, te chciał zadziwnie tylko dla siebie. A o czym, też nie potrafiłby określić. Mając przy sobie tylko sytuację, żeby siedzieć blisko i że jej wszystko opowie. Ale co miało oznaczać to „wszystko”, sam nie wiedział.

Próby realizowania tych rozmów wyrażały się w tym, że gdy wracał do domu, a drzwi otwierała mu kościata Elza, która z wyjątkiem niedziel i świąt przychodziła codziennie od dziesiątej do czwartej w charakterze domowej pomocy, pytał nieodmiennie:

— Mama jest?

Raz, gdy otrzymał twierdzącą odpowiedź, okazało się, że matka jest zajęta. Gdy Grześ zajął do pokoju, ujrzał ją siedzącą przy biurku, a obok niej wysoki stos szkolnych zeszytów.

— Nie przeszkadzaj, Grześ — powiedział.

— Masz robotę?

— Przecież widzisz.

Grześ cicho wysunął się do przedpokoju, tam zdjął wiatrołoch, zmienił buty na miękkie pantofle i wyczerpawszy w ten sposób wszystkie obowiązujące go po powrocie do domu czynności, z niekłym skrzem udął się do swego pokoju. Tak się szczęśliwie złożyło, że tego wieczoru Łukasz wcześniej niż zwykle zasnął. Grześ na ten moment niecierpliwie czekał. Usiadł na tapczanie, po omacku odnalazł pantofle i cicho wysunął się do przedpokoju.

Tym razem w obu pokojach, u matki i w gabinecie u ojca świeciło się, lecz Grześ jednego w swych planach nie przewidział, tego mianowicie, że matka nie będzie sama. Był u niej ojciec i jeszcze ktoś, rozmawiali, a ponieważ drzwi do przedpokoju były niedomknięte, wyraźnie było słychać każde słowo. Po zapachu dymu fajkowego domy-

ślił się, że tą trzecią osobą jest pan Rostkowski. Już pierwsze słowo, jakie dotarło do Grzesia, skłoniło go do pozostania.

Mówił ojciec:

— Niepokoi mnie Łukasz i ta jego historia z tym złotym lisem. Nie wydaje ci się, że mu coś dolega?

— Czy ja wiem — zastanawiała się matka. — Mnie się czasem wydaje, że my po prostu bardzo mało wiemy o naszych dzieciach. Ciągłe nie mamy na nie czasu. Niby to żyjemy razem, a właściwie każdy osobno.

— Czy on rozmawiał z tobą na ten temat?

— O złotym lisie? — w głosie matki zabrzmiało zdziwienie. — Nie, skądże przypuszczam, że już o nim zapomniał, takie dziecięce fantazje nie trwają długo.

— Myślisz?

— Chyba...

— A ja wcale nie jestem taki pewien i dlatego właśnie niepokoię się, czy nie kryje się za tym jakaś rozbudzona fantazja lub niepotrzebne marzycielstwo.

— No to masz przecież dla utrzymania równowagi w rodzeństwie drugiego syna o logicznym, powiedziałbym nawet, gdyby nie chodziło o dziecko, o racjonalistycznym umyśle — próbowała żartować matka.

Przez chwilę panowała milczenie przerywane tylko pykaniem fajki pana Rostkowskiego i szeletem przez niego chyba przewracanej gazety.

— Wiesz — odezwała się ponownie matka — zastanawiam się nad tym, czy my musimy odbierać dzieciom prawo do fantazjowania?

— Myślę, że tak — odpowiedział ojciec.

— A myśmy kiedyś nie fantazjowali? Przypomnij sobie.

— Z nami inna sprawa. Owszem, miałem różne fantazje, i to nie tylko w dzieciństwie, ale też dostaliśmy za nie porządnie po głowie.

granatowy policjant, i policjant zapytał się Maszki:

— I pani w takim stanie nie wedydzi się iść w tym pochodzie? — Maszka odpowiedziała:

— To ja się tylko za pana wstydę, i za to, że oni się też nazywają Polakami...

To policjant spuścił głowę na dół i on nie podniósł już oczu na Maszkę...

Czy może szczęście tkwiło w tym, że Hanka przyszyła na swiat zdrowa i śliczna. Aj, jaka śliczna. Oczy Hanka ma ojca. Duże, czarne, rzęsy długie, a jak się śmiała! Izaak tańczył z radości. Dziadek Abram już nie doczekał wnuczki.

A potem było już samo nieszczęście. To Izaak zginął w obronie Warszawy, a Maszka z dzieckiem ruszyła na wschód. I Różia poszła z nią, i Hańcia, ale po drodze gdzieś zginęły.

Takie straszne, takie straszne szły potem wieści na wschód. Dymyły bez przerwy, bez jednej godziny przerwy straszne kminy w obozach. Ludzie tracili wiarę we wszystko.

To było straszne nieszczęście, okropne nieszczęście.

A może szczęście tkwiło w tym, kiedy sekretarz Rewkomu na dalekiej północy przyniósł Maszce trzy metry płótna i powiedział:

— Bieri, Maszka, dla doczki.

Sekretarz miał również małą córeczkę i właściwie bardzo potrzebował materiał dla siebie.

— Jakże, Iwanie Anisimowiczu, u was łoże małeńkaja docz.

— Bieri, bieri...

A może szczęście tkwiło...

Wieczór już położył się nad miastem. Czerniały w dali kopuły szczyty gór, płonęły piece huty, zapaliły się lampy na ulicach, a na wielu kominach czerwone gwiazdy. Kobieta opowiadała dalej. W pewnym momencie zaproponowała tylko, czy bym nie zechciał pójść do jej mieszkania. Zgodziłem się chętnie.

— To pan się nie gniewa na mnie, że ja dopiero teraz? No, tak sobie tu siedzim, siedzimy. Maszka gada i gada... Maszka Lapko, stara Maszka pyta się wciąż: „gdzie jest to szczęście człowieka?” A pan nie nie mówi, chociaż w książkach uczony, szkoły kończył...

Wiół nas tramwaj, po szynach hurgotał, dzwonił, ślepiem jednym opadająca mgłą rozdzierał, aż wreszcie stanęliśmy w jasno oświetlonym, dwupokojowym mieszkaniu. Była w nim dziewczyna może osiemnasto- może dwudziestoletnia. Nad książkami siedziała. Miała duże, czarne jak węgiel oczy, rzęsy gęste i długie, i piękną twarz.

— Hanka, gościa przyprowadziłam... Napije się pan herbaty? No, daj herbaty i ciastka, daj.

Młoda kobieta wyszła do kuchni.

— Możemy mówić dalej, co? — zaczęła Maszka. — Pan się pytał o to szczęście ludzkie, co? To ja już mówiłam, to ja się też pytam każdego, i myślę, gdzie ono jest... Zapachniała świetnie zaparzona herbata.

— Moja Hanka za dwa lata będzie inżynierem. Pomyśl pan, córka Maszki Lapko, co jeszcze pół roku temu po polsku pisać nie umiała, tej Maszki, co po służbach, no, sam pan powiedz... Maszka wydaje przepustki, a córka — inżynier. Teraz już chodzi do niej jeden żydowski chłopiec...

Dziewczyna spuściła oczy.

— No, pij pan herbatę. Hania, siadaj też. A my mówmy dalej. To jak jest z tym ludzkim szczęściem?

Władysław Żeślowski

I lepiej, żeby nasze doświadczenia nie były przykładem dla naszych dzieci. Teraz człowiek powinien się od samego dzieciństwa przyzwyczajać, że będzie żył myślami i uczuciami wspólnymi ze swoim społeczeństwem. Sama powiedz, jaki los czeka człowieka, który chciałby myśleć inaczej niż wszyscy? W zakresie poznania i wartościowania obowiązuje nas jednoznaczność. To jest jasne, nie? I jeżeli myśmy się już zaczął przyzwyczajać, że nieraz co innego mówimy a trochę co innego myślimy, to dlaczego nasze dzieci mają także kłamać?

— Zmęczony jesteś — powiedział

la półgłosem matka.

— Jestem — odpowiedział — wszyscy jesteśmy zmęczeni. Ale co z tego? Tym większa racja, żeby pilnować umysłów naszych dzieci.

— Nie wiem, czy nie wyolbrzymiasz tego wszystkiego — odezwiała się po chwili matka. — Ostatecznie to dość bagatelna historyjka z tym lisem.

— Owszem, bagatelna — zgodził się ojciec — ale za to wcale nie bagatelne wydają mi się pewne cechy umysłu Łukasza. Nie wiem, może to jest z mojej strony kapitulacja, a może właśnie zrozumienie naszych czasów, ale wydaje mi się, że najlepiej jest, jeżeli człowiek nieczym szczególnie nie odróżnia się od innych ludzi. Nie chciałbym więc, żeby nasze dzieci...

W tym miejscu wmlęsz się głos przyjaciela rodziców.

— Czy naprawdę tak bardzo się niepokoiacie psychiką Łukasza? I naprawdę sadzisz, Anno, że gdybyś miała więcej wolnego czasu, znalazłabyś od razu złoty kluczyk, który otworzyłby ci nie serce ale usta tego chłopca? Jak na utalentowaną nauczycielkę i głęboką znawczynię literatury, zbytnio wydaje mi się upraszczać sprawę. Czyż naprawdę sadzisz — słysząc było jak pan Antoni zerwał się i

(Dokończenie na str. 7)

Nowe książki

ALOJZY JIRASEK „STARE PODANIA CZESKIE”. Przełożyła Maria Erhardtowa. Ilustracja M. Aleš. A. Prochazki. PIW 1955. Cena zł 12,10.

Dwa lata temu obchodzili Czesi setną rocznicę urodzin jednego z najsłynniejszych swoich pisarzy Alojzego Jiraska, twórcy narodowej powieści historycznej. Niektóre z nich zna już polski czytelnik. Po wojnie oprócz wznowień starych przekładów ukazywały się trzy nowe pozycje po raz pierwszy tłumaczone: „Psiogłowcy”, „Skalakowie”, i „Mroki”. Najcenniejsze jednak dzieła tego wielkiego pisarza nie zostały dotychczas udostępnione naszemu czytelnikowi. Brak też jakiegokolwiek większego studium literackiego o czeskim klasyku.

„Stare podania czeskie” otwierają wielotomowy wybór pism, który ma umagadzać dotychczasowe braki i zaniechania. Wejść tu zarówno utworów wielkie jak i drobne, uporządkowane chronologicznie według epok historycznych. Uwzględniono więc cykl husycki, nie tłumaczone dotąd powieści z czasów przeddiogenickich oraz okresu buntów chłopskich, a także czołowe dzieła narodowe. Obok tego znajduje się wybór z wybranych utworów dramatycznych i powieści „polskie”. Jirasek był przyjacielem Polaków i interesował się naszym piśmiennictwem, kulturą i polityką. Motywy polskie, akcenty solidarności polsko-czeskie są zjawiskiem bardzo częstym w jego utworach. „Stare podania czeskie”, które powstały w momencie szczytowego rozwoju sił twórczych pisarza czeskiego to także dokument przyjaznego i serdecznego stosunku do narodu polskiego. Analogie między „starymi podaniami”, a podaniami które czytamy u Gallusa Anonima, Kadłubka, Janka z Czarnkowa i Długosza są zupełnie oczywiste. Uderzające podobieństwo zachodzi także między podaniem o Wandzie i czeskiej Libuszy. „Stare podania czeskie” wydane zostały w Pradze w roku 1894, w okresie gdy ówczesni pisarze czescy, holdujący formalistycznym i kosmopolitycznym prądem oddawali się coraz bardziej od mas ludowych i ludowych źródeł inspiracji artystycznej. Wówczas to książka Jiraska stała się dzięki swej ludowości właśnie najpopularniejszym utworem, ukazującym tęsknotę narodu za wolnością. Pisarz — czytamy we wstępie Józefa Magnuszewskiego „oczyma ludu spojrzeć na najdawniejsze wieki historii, wyczarować zgodnie z ludową wyobraźnią postaci narodowych bohaterów będących często uosobieniem pragnień i dążeń biednych, uciskanych ludzi, ożywić historyczne miejsca czeskich dziejów, przypomnieć wreszcie prorocтва, które w najcięższych latach krzepi-

ły ducha. Przedziwne pełne namiętności poezji zespolenie stylu starych kronik z płynnym, urozmaiconym tokiem gawędy nadaje tej książce specyficzną piętno”. Wstęp Józefa Magnuszewskiego pożyteczny, dający czytelnikowi pogląd na epokę, informujący szczegółowo o rozwoju sztuki pisarstwa Jiraska, słuszny w swojej zasadniczej koncepcji interpretatorskiej, budzi jednak pewne zastrzeżenia niedostateczną niekiedy precyzją sformułowań.

ALEKSIEJ SEGRENKI „JASNA DROGA”. Tłumaczył Bronisław Cirić. „Czytelnik” 1955, cena zł 10,90.

Aleksiej Segrenski jest przedstawicielem mało znanej u nas literatury bułgarskiej powojennej dziesięciolecia. „Jasna droga” to trzecia z kolei książka tego pisarza. Zbiór nowel „Szalejące stado” ukazał się w roku 1947 i zawierał nowele o tematyce wiejskiej, następnie w roku 1949 wydano zbiór powieści „Katia”, której postacią centralną jest Jordanka Czankowa, członkini KC Związku Młodzieży Robotniczej i KC Bułgarskiej Partii Komunistycznej, bohaterka bułgarskiego ruchu oporu, która poległa w walkach partyzanckich. Najnowsza książka Segrenskiego „Jasna droga” wydana w r. 1952 nagrodą G. Dimitrowa zawiera trzy opowiadania: obszerną „Jasną drogę” i dwa mniejsze „Nauczycielka” oraz „Ali zostaje w komitecie”. Tematem tych opowiadań są przemiany zachodzące w życiu kraju. Pierwsze opowiadanie mówi o tym, jak uświadamiona politycznie młodzież walczy o kolektywizację wsi, „Nauczycielka” to epizod walki o nową socjalistyczną szkołę, a ostatnie, którego bohaterem jest kilkunastoletni Turek Ali, porusza ważki problem wychowania młodego pokolenia.

LUDWIK ASZKENAZY: „WYŻSZA POLITYKA”. Przełożył Zdzisław Hierowski. Wstęp Zbigniewa Miłnera. „Czytelnik” 1955, cena zł 5,60.

Młody pisarz czeski Ludwik Aszkenazy (urodzony 1921) studiował w czasie wojny w Związku Radzieckim, gdzie wstąpił także do sformowanej tam czeskiej jednostki wojskowej. Pracę pisarską rozpoczął od dziennikarstwa. Jest on autorem książek - reportażów politycznych: „Ułicy Milej”, poświęconej sprawom polskim i „Niemieckiej wiosny”.

„Wyższa polityka” to cykl opowiadań obejmujący około 30 lat, w ogromnej, więc części opowiadań historycznych. Miłner analizując treść i wymowę polityczną opowiadań Aszkenazy nazywa go jednym z kontynuatorów Haszka w literaturze czeskiej. Przy czym — jak wyjaśnia dalej — porównanie to nie dotyczy sposobów twórczych Aszkenazy, lecz celu politycznego, któremu pragnie on służyć w nowej sytuacji, w nowych warunkach. Przedmowa Miłnera zawiera także wiele ciekawych uwag na temat warsztatu pisarskiego, na temat środków artystycznych jakimi realizuje Aszkenazy swe zamierzenia twórcze.

K. Nast.

Z życia ZLP

NAJBLIŻSZE ZEBRANIA SEKCJI TWÓRCZYCH ZLP

Dnia 3 maja, we wtorek o godz. 17-jej odbędzie się zebranie Sekcji Prozy. Temat: „Jaworowy dom” Wilhelma Macha. Zag. W. Sackowski.

Obj...

M. Żuławski urodził w Wietnamu; M. Warnieńska przyjechała z Korei; A. Braun przebywał w Chinach; W. Zukrowski i J. Przymanowski pojechali tam również...

Oby do nas przyjechał jakiś utalentowany pisarz chiński, bo przecież tak bardzo jest nam potrzebna polska powieść współczesna.

Botesław Kowalski

Srebrny ptak

(Dokończenie ze str 5)

długimi susami mierzyl pokój — czyżby naprawdę sądził, że matka Emilki, która aż nadto wolnego czasu spędza przed lustrem i pokątnymi i rzeczywiście więcej wolnego czasu poświęca swojej córce, ma do jej duszy kluczowy lepszy niż ty do duszy twoich dzieci? Oczywiście, że i tobie i wszystkim matkom żyję, aby jak najwięcej czasu mogły poświęcać swoim dzieciom. Ale dzieci — zatrzymał się przed matką — to przede wszystkim surowi sędziowie, zwłaszcza surowi dla tych, których kochała, zwłaszcza dla rodziców. Niemadra Anno, zgryźliwy Wojciechu, czy tak już oślepiłeś, czy naprawdę nie widzisz, że w każdej godzinie, w każdej minucie waszego życia i waszej pracy tysiącami nie miłymi wzięciami się uczuciowo z waszymi dziećmi? Ktoż z ludzi dorosłych przypomnia sobie w dorosłym życiu „rozmowy wychowawcze” matki lub ojca? W pamięci i głęboko w sercu pozostaje to co się utrwaliło na podstawie surowego osądu postępowania rodziców. Rumieniec wstydu lub głęboko tkwiąca zadra — na wspomnienie niegodnego czynu lub klamstwa; szlachetna duma i ciepła radość, na wspomnienie każdego, najdrobniejszego choćby dowodu szlachetności i prawości. I wy niemadry — wchrzyl swoim zwycięstwem czuprynę — sądzicie, że tylko od wolnego czasu zależy, czy smyki będą się przed wami wynęczały ze swoich tajemnic? A nawet nie spostrzeżliście, że jak na złość macie nie jednego marzyciela, lecz dwóch, powtarzam wam: dwóch, tylko że zupełnie różnych — grzmiał coraz głośniejsze. — Bo że Grześ sam, do browolnie, spał sobie rękę, za to wam ręce.

— Masz wodę z sokiem, to moż-

że się trochę uspokoisz i nie będziesz tak rzytał — ojciec postawił przed przyjacielem przyniesioną z kuchni szkanle. — A te wszystkie twoje psychologiczne rozważania i ostatnie autorytatywne stwierdzenie tymbarziej mnie niepokoją. Aż dwóch, powiadasz, mamy marzycieli?

— Od kiedy to przestały ci się podobać marzenia i fantazje? Bo podobają ci się w czasach, kiedyś deklamował z przejęciem: „Wiesz — powiada — w Magnitogorsku dziś ruszają dwa wielkie piece...” — przedrzeźniał ojca Rostkowskiego. — Przysiliwałem się, aby uważnie twoim wywodom — skoczył znów na równe nogi i stanął przed ojcem. — Spoznał twoją filozofii Mimikry, którą tak wymownie uślowałeś przyswoić Annie, wyzła filozofia zupełnie inna. Za jakimś to słamszonym i wygnanym przez nasze społeczeństwo marzeniami i tęsknisz? Czy za marzeniami tych, co buty zdzierali w bezskutecznym poszukiwaniu pracy? A może za marzeniami nietascheańskich indywiduistów, które najciężniej rozkwitały w duszach rycerzy od palki i kasetki? Bo nie marzenia Janów z celi trzynastej, które cię wówczas porwały, miałeś na myśli. Powiedz no, Wojciechu, trochę wyraźniej, za jakie to marzenia tyś dostał po głowie? Czyżby zbyt sztywno wytyczona linia regulacyjna spółdzielczej wsi, nawet, przy puszczy, z brzydkich prefabrykatów zbudowanej, przesłoniła ci wszystko, co na ciebie z naszym ustrojem wtargnęło? Obawa o jakie konflikty w duszy twojego dziecka cię nurtuje, gdy troszczysz się o los człowieka, który chciałby myśleć inaczej niż wszyscy? Czego żałujesz, gdy tak smutnie stwierdzasz, że „teraz człowiek powinien

się od samego dzieciństwa przyzwyczajać, że będzie żył myślami i uczuciami wspólnymi ze swoim społeczeństwem”? Nie zasłuchiłeś na to — grzmiał znowu malarz — żebyś żył w takich czasach, kiedy interes osobisty twoich dzieci tak ściśle spłata się z interesem narodu, ludzkości.

— Nie lubię formulek — sucho wtrąciła matka.

— Formuły, powiadasz? A cóż się za tą formułą kryje? A ci z naszych kolegów, którzy po trupach pili się do kariery? A ci synowie chłopcy, co za dostęp do nauki, za wybiecie się, placili gorzką, upokarzającą cenę wyrzeczenia się swej klasy, ba, swej najbliższej rodziny?

— Twierdzisz, że nie ma u nas miejsca na marzenia, że marzenia trzeba zabić? Wojciechu, Wojciechu. A jakżeś kwalifikowałśmy tych, co w czterdziestym czwartym powiedzieli, że na tym dymiącym rumowisku, na tym apokaliptycznym pomniku barbarzyństwa zmartwychwstanie stolica naszego kraju? Czy naprawdę nie pamiętasz, że podstawowym zagadnieniem politycznym naszego narodu przez długie wieki, aż do dzisiejszych czasów, był zapadły, do grzbiotu przystający brzuch? I faktem jest, że natchnieniem największych marzycieli, tych z których dumny jesteś i ty i ja, była „fantazja” o napelnieniu do syta tego brzucha.

W tym momencie wszyscy przemieśli się do gabinetu ojca i tam dalej rozmawiali, ale do Grzesia dochodziły już tylko poszczególne słowa. Rozróżniał głosy mówiących, wyczuwał, że ojciec przeciw czemuś oponuje, ale sens rozmowy już do niego nie docierał. Grześ przysiadł donie do serca i chwilę stał z czołem opartym o framugę.

Od tego wieczoru w stosunkach Grzesia z rodzicami zaczął się zupełnie nowy okres. Bez złudzeń i nadziei, że znajdzie u nich zrozumienie i oparcie. Drażniły go prze-

chwytywane nieraz, jakby pytające spojrzenia matki, zwłaszcza szorstko uchylał próby zbliżenia się doń ojca. Nawet gdy nadeszła zima i spadł pierwszy śnieg, i dotąd najradosniejsza każdego roku niedziela, kiedy zazwyczaj cała rodzina z sanekami i nartami wybierała się na cały dzień na Bielany — Grześ wy-mówił się od wspólnej wycieczki, pod pozorem jakichś zajęć w szkole.

Tym intensywniejsze stało się jego życie poza domem. Nie opuściła go namiętność do lektury książek, rozszerzona teraz o pasję do gazet. W szkole stał się specem od gazetki śniennych i „przegłędów wydarzeń” na zbiorach harserskich. Dużo czasu spędzał z kolegami i wprost nie rozstawał się ze swym przyjacielem, wysportowanym Krzysiem.

W tym właśnie czasie wojna w Wietnamie weszła w nową fazę. Grześ nie mógł zrozumieć jak można w ogóle rozmawiać o innych sprawach, niż strajki dokarów we Francji i Raymonde Dien.

A potem na łamy pism dostała się bohaterańska postać Henri Martina.

Na mozaikowym zegarze na Mariensztacie wybiła trzecia godzina. Przechodzący rynkiem Grześ z Krzysiem zatopieni byli w ożywionej rozmowie.

— A więc jutro wieczór — powiedział Grześ, przerywając mocno wpychaną, ciężką teczkę z ręki do ręki.

— Jutro — odpowiedział Krzys i czubkiem buta uderzył zreszczenie w grudek na lód zamarłego śniegu, obserwując uważnie, czy trafi w cel, którym był słup najbliższej latarni.

Plecak mam trochę za mały, nie zmieści mi się wszystko — zmruwił się Grześ.

— To resztą zmieści się w moim, nie zapomnij tylko o zapasowych wetnianych skarpetkach, grunt to ciepło w nogi,

ZA GRANICĄ

się wiadomości o losach pisarki. (t) *

GOŁĘBIA BABCIA z Piwniej na Starym Mieście przeszła do literatury nie-mieckiej, stała się mianowicie tematem opowiadania reportażowego z Warszawy, które napisał Dieter Mütter. Opowiadanie to pt. „Mutter der Tauben” znajduje się w kwietniowym numerze berlińskiego miesięcznika „Aufbau”, opatrzone drzeworytem Wernera Klemke. W tymże kwietniowym numerze artykuł Mariana Szyrockiego o związkach trzech wielkich postaci naszego Odrodzenia z kulturą niemiecką (Kochanowski, Szymanowicz i Modrzewski) oraz artykuł Othmara Feyla z historii współpracy niemieckiej i polskiej w bibliotekarstwie, poczynając od połowy XVIII w. Artykuł Feyla, przynoszący wiele źródełowych, nieznanych dotychczas o żywym kontakcie bibliotekarzy polskich z niemieckimi zastępuje na polskim. (Interesujące przytocza także w ogólnie historii Biblioteki Zaluskich, prac S. B. Lindego, Bandkego, K. Estreichera i in.) (a)

HENRI EISLER nakreślił ostatnio film, który — jak pisze prasa francuska — należy do najlepszych realistycznych filmów francuskich i wskazuje na jego repertuaru utworów ci narodowej. Tytuł filmu „La Terre fleurira” (Ziemie zakwitnie) pochodzi z ostatniego wiersza Ethel Rossignola, poświęconego dzieciom. (a)

INSTYTUT LITERATURY ŚWIATOWEJ IM. GORKIEGO W MOSKWIE zorganizował sesję naukową poświęconą analizie literatury radzieckiej roku 1954. Na sesji omówiono zagadnienia prozy, poezji i dramaturgii. Z prozy referenci i dyskusję wygłoszeli jako najlepsze utwory roku H. Nikołajewej „Powieść o dyrektora MTS i głównym agronomie”, Grigorina „Poszukiwania”, Faustowskich „Bieg czasu”, L. Sołowa „Zielone światła”, W. Niekrasowa „W rodzinny mieście” i inni. Wskazano, że w literaturze radzieckiej wiele uwagi poświęcono tragedii poetyckiej Olgi Bergholz „Wierność” oraz wierszom lirycznym Simono-

wa, Aliger, W. Tusznowej, B. Stuckiego i M. Lwowa.

TEATR MAŁY W LENINGRADZIE wystawił premierę opery Prokofiewa „Wojna i pokój”, opartą, jak wiadomo, na epopei Lwa Tołstoj. To wielkie dzieło muzyczne, skomponowane początkowo w dwa części Prokofiew przepracował od nowa na krótko przed śmiercią, nadając mu właściwą formę opery. Wystawienie pierwszej części przed dziesięć laty w tym samym teatrze było wyróżnioną Nagrodą Stalinową, przyznana całemu kolektywowi artystów. (a)

UNIWERSYTET W ASZINGTONSKIM postawił sobie społeczeństwu uniwersyteckiemu — oświadczył to siedmiu uczonych amerykańskich na ogólną liczbę ośmiu, którzy byli zaproszeni w celu poprawienia debaty naukowej na tym uniwersytecie. W następstwie oświadczenia podkowanego faktem, że Uniwersytet Waszyngtoński zabronił wstępu w swoje progi profesorowi Robertowi Oppenheimerowi, który jest jednym z największych fizyków atomowych w świecie — oświadczył, że nie odbył się ogólnym w związku z oświadczeniem siedmiu uczonych Uniwersytetu musiał odwołać przeszło dwadzieścia zaproszonych do wygłoszenia naukowej (jak wiadomo prof. Oppenheimer był kierownikiem ośrodka badań atomowych w Los Alamos i został zmuszony do zrzeczenia swego stanowiska, ponieważ przeciwstawił się planom wojennym, zmierzającym do rozbudowy doświadczeń z bombą wodorową). (a)

SPAGHETTI W SZTUCE LITERATURY — to tytuł najbardziej niezwykłej i udatnej wystawy Bieżącego sezonu, jaka otwarta została w Bordighie na włoskiej Riwierze. Tuż przy amerykańskiej zabudowanej się tymczasowo amerykańskim pomysłem Włochów. Wystawa jest szeroko rozreklamowana w Stanach Zjednoczonych, „co przyniesie Włochom korzyści materialne, nie mniejsze od dochodów turystycznych z Wenezuwia” — pisze „New York Times”. (a)

Kilka myśli z powodu jednej książki

(Dokończenie ze str. 2)

rodziny Szolców to jedne z legend mego dzieciństwa.

Jak to bywało w każdej rodzinie inteligencji miejskiej czy wiejskiej, rodzice moi gromadzili fotografie w opasłych albumach oprawionych w aksamit albo skórę i zamkniętych na klamkę. W jednym z nich znajdowała się duża fotografia, która silnie zapadła mi w pamięć razem z historią przedstawionych na niej osób. Było tam czterech młodych ludzi, trzech siedzących przy stole, na którym rozłożone były mapy, czwarty w mundurze marynarza stał pośrodku. Zdaje się, że był z lekką schyloną i dłońmi wsparty o ów stół z mapami. Rzecz, która przysłuła moją uwagę jako małego jeszcze dziecka, była nadzwyczajna piękność trzech spośród owych młodzieńców. Czwarci, siedzący z prawej strony, mniej mi się podobał. Zdawał mi się za tego, zbyt pospolity, ale matka moja zapewniała, że to bardzo sympatyczny i zany człowiek. Była to fotografia czterech braci Scholtzów, z których stojącym był Stefanem podrodnikiem, a z których żyjącym wówczas i jeszcze długo potem był ów najmniej mi się podobający, Kazimierz. Obok znajdowała się w owym ramki albumowej taka sama „gabinetowa” fotografia starczego pana trzymającego w ręku jakąś książkę czy ilustrację; to ojciec przeszłych młodzieńców, Ludwik Scholtz, kaliski fabrykant sukna czy tkanin bawełnianych. Obecność tych fotografii w rodzinnym przyjacielskim albumie mojej matki wskazuje, że rodzina Scholtzów należała do jej pańskiego otoczenia, które było światłym i postępowym środowiskiem dawnego Kalisza. Nieco później, w latach dziewiętnastych, poznałam, chętnie i wielokrotnie przez matkę opowiadaną, historię braci Scholtzów. Nie była to historia banalna, mówiła te o dziwnym jakimś romantyzmie młodego pokolenia tej rodziny. Romanizm trochę Wertherowskim u dwu jego braci, a już zupełnie inny u Stefana, który spolszczył piosniewki ojcowiskiego nazwiska i przydał do niego nazwisko matki, z domu Rogozińskiej.

Jeden z braci Szolców zakochał się w uroczym kaliszczanie, o której matka moja mówiła, że „wyglądała jak skromna pensjonarka, ale miała ogromne powodzenie”. Zareczył się z nią. Gdy panna latem wyjechała z rodzicami do „wódt” śląskich, narzeczony, przebywający wówczas gdzieś daleko na studiach czy praktyce, napisał do brata, prosząc żeby w jego imieniu odwiedził przychłą rodzinną bawiarę, w niedalekim od Kalisza Landeck (kiedyś i dzisiaj — Łądek). Brat spełnił polecenie, lecz w czasie owych greckosłowiańskich odwiedzin zakochał się w pannie, a ona w nim. Poprzednie narzeczeństwo zostało zerwane, między braćmi odbył się mody wówczas „amerykański” pojedynek. Jeden z braci wyciągnął czarną galke i zastrzelił się, drugi zaś zastrzelił się natchnieniem polem, nie mogąc znieść tak tragicznego obrotu sprawy. Czy to wszystko odbyło się w czasie wyprawy Stefana do Kamerunu czy później, tego już nie wiem. Nie wiem też, czy wszyscy bracia Szolcowie byli dziećmi jednej matki. Skoro w książce „Odkrywcy Kamerunu” mówi się, że Stefan Szolc-Rogoziński zużył na swą wyprawę

majątek pozostawiony mu przez matkę, skłonna jestem przypuszczać, że był jedynym synem pierwszej, być może, żony Ludwika Szolca, Rogozińskiej, osoby pochodzenia ziemianskiego. Lub może byli jej synami także dwaj bracia-samobójcy, którzy już w czasie wyprawy nie żyli, a tym samym pozostawili Stefana jedynekami. Za tym przemawia ich, pamiętne na z owej fotografii, podobieństwo do Stefana. Możliwe, że tylko najmłodszy Kazimierz, odmienny w typie urody, był synem innej matki. To już niech bada kto inny.

W latach dziewiętnastych większość robiła na mnie tragedia nieszczęśliwych kochanków niż odkrywcza podróż Stefana, o której w otoczeniu mojej matki niewątpliwie musiało być mówione, bo i osobna fotografia Stefana Szolc-Rogozińskiego znajdowała się we wspomnianym albumie.

Los wszystkich braci Szolców był zresztą raczej tragiczny. Stefan, ożeniony z Heleną Boguską, piszącą egzotyczne powieści pod pseudonimem Hajoty, umiera przedwcześnie, trawiony złowrogimi następstwami febrzy tropikalnej, a nie mniej rozstrojem nerwowym i gorzkimi rozmyślaniami na temat nie takiego na pewno końca jego ambitnych marzeń, jakiego pragnął. Najmłodszy, Kazimierz, odziedziczył chyba fabrykę ojca. Nie zresztą bliższego o nim nie wiem, prócz tego, że moi kaliscy krewni mówili o nim zawsze w spieszczczeniu: „Kazio Szolc”. Otóż Kazio Szolc żył do roku 1914. Będąc zapewne znaną w Kaliszu osobistością, czy też należącą w chwili wybuchu pierwszej wojny światowej do tymczasowego zarządu miasta, został z mnóstwem innych znaczących obywateli Kalisza aresztowany przez osławionego burzyciela Kalisza, majora Preuske-ra. Owych „zakładników” pędzono piechotą ku Szczepiornu w skwarze upału i przy akompaniamencie pogroźek, że wszyscy idą na rozstrzelanie. Kazimierz Szolc, stary już wtedy człowiek, umarł w czasie tej męczeńskiej drogi na atak serca.

Kiedy dorosłam, bardzo często przypomniała mi się historia braci Szolców. Zdziwiała mnie teraz przede wszystkim jako historia synów kapitalisty-przemysłowca, tak bardzo sprzeczna z typową biografią tego rodzaju rodzin. Nie minęło to bez śladu (jak nie bez niego nie mia) w mojej twórczości pisarskiej. Odbiło się w paru myślach „Nocy i Dni”, a zwłaszcza odbiło się w postaci Ludwika Ceglarskiego. Nie kształtowałam tej postaci na wzorce Szolców, boć żadnego z nich na oczy nie widziałam. Kto inny był wewnętrznie, a trochę i psychicznie „modelem” postaci Ceglarskiego. A jednak coś z legendy o rodzinie Szolców zostało w tym drugoplanowym „bohaterze” „Nocy i Dni”, który, jak mój tekst powieści, „właściwie nazywał się Brun, a przybrał nazwisko matki, córki garbarza, lecz wnućki ziemianskiego domu Weżyków”. Ceglarski nosi też imię Ludwik, takie jak ojciec czterech tragicznych braci Szolców, z których jeden w najcięższych latach narodowej niewoli okonał czynów gruntyjących dobre imię i sławę Polski pośród najlepszych ludzi świata.

Maria Dąbrowska

wzajem, cała trójka przystanęła wytrzeszczając na siebie zdumione oczy: amatorzy nielegalnego przekroczenia granicy — na widok „spod ziemi wyrosłego” żołnierza; żołnierzy — bo dzielnie kroczący przestępcy okazali się... małymi chłopcami.

W długim, z sosnowych bierwion ciosanym budynku nadgranicznego posterunku WOP panowała zwykła o tej porze całkowita cisza przerywana tylko chrapaniem zmęczonych żołnierzy. Oficer siedzący przy stole, z czołem opartym na rękę, prze-rzucił ostatnią stronę spisanych ze-znań chłopców i mruknął do siebie — taak — starannie zawiązał tasemki zielonej, papierowej teckki.

Za oknem cicho, gęstymi płatami, znów padał śnieg. — Co też się dzieje w domach tych smyków — przemknęła mu myśl. — Czy ktoś z ich rodziców domyśla się, że jego syn mógł wyruszyć na pomoc Wietnamczykom? Trzeba być dzie zaraz rano wyekspediować chłopców. Kogo by im dać na eskortę? Chyba Gągołę, znalazł ich, niech ich odprowadzi, zobaczy przy okazji stolicę — zdecydował stuknawszy ołówkiem w teczkę, jakby tym ruchem chciał zamknąć całą sprawę, i na palcach zbliżył się do przycisku, na której leżał chłopcy.

Obaj byli pogrążeni w głębokim śnie. Odprężone mięśnie policzków i ust ułożyły się w naturalne płaszczyzny i linie, ujawniając kim byli naprawdę: małymi chłopcami ufny-mi w ludzi i w świat. Z twarzy Grzesia ustąpiła harda i chmurna zadzierzystość, w której trwał od chwili przestąpienia progu posterunku, a z Krzysia wyraz sztucznie przybranej nonszalanckiej.

Oficer przez chwilę przyglądał się chłopcom z zadowoleniem. Po-tem nachylił się i starannie poprawił na nich obuwające się, szorstkie żołnierskie koczki.

Stanisława Kolska

STANISŁAW JERZY LEC

Myśli nieuczesane

Cóż eunuchowi po cywilnych ślubach.

*

Na początku było Słowo —
a na końcu Frazes.

*

Gdy plotki się starzeją, stają
się mitami.

*

Czym innym jest posiadanie
bujnej wyobraźni, a czym in-
nym brak poczucia rzeczywi-
stości.

*

Wicie co znaczy „srob”?
To skrót terminu „sine nobili-
tate” czyli po polsku „syn byle-
taty”.

*

Istnieją dziwne małżeństwa:
tradycji z tromtadacją —
dzieci: Tromtradycja, kultury
z makulaturą — dzieci: Ma-
kultura. Opiekują się tymi
dziećmi — pfelietoniści.

*

„To jest tam gdzie diabeł
„dobranoc” mówi jeśli jest do-
brze wychowany”.

*

Oto siła wiary w siebie! Pe-
wien redaktor rzekł pewne-
mu początkującemu pisarzowi:
„Pańskie opowiadanie napraw-
dę „do d.”. Ten opowiadał po-
tem swoim równie początkują-
cym kolegom: „Powiedziano o
moim utworze, że to „napraw-
dę Daudet!”.

*

Życ jest bardzo niezdrowo.
Kto żyje ten umiera.

*

On? Posiada encyklopedycz-
ną niewiedzę!

*

Gdyby się była jeszcze bar-
dziej spóźniła na randkę, był-
bym został Petrarką.

*

Czy człowiek nie umiejący
liczyć, który znalazł czterolist-
ną koniczynę, ma też prawo do
szczęścia?

*

Tak był zapatrzony w swój
pepek, że nie spostrzegł gdy go
kopnięto w zadek.

*

Chciałem powiedzieć światu
tylko jedno słowo. Ponieważ
nie potrafiłem tego, stałem się
pisarzem.

*

Nie włazi się kaloszami do
duszy bliźniego, wytarcie nóg
nie pomaga.

ANDRZEJ BIANUSZ

STURMFÜHRER MARZY

Suchym wzrokiem spod hełmu obce postacie mierzy,
Pasek z wołowej skóry mocno zapięty pod brodę,
Za nim trzydzieści luf. Pluton zbrojnych żołnierzy.
Przed nim czterej: Sokrates, Mickiewicz, Mozart i Rodin

jacyż inni niż zwykle — zmęczeni, brudni i mali...
Gdy brukwią ich wczoraj karmiono, kolczastym żalili się drutom.
Nie ma w ich oczach błysku. Błysł słońca jest tylko w stali
Poziomych luf, gdy do strzału na rozkaz składa się pluton.

Lufy i ludzie stoją karnym, milczącym rzędem
Dowódca odsłonił zegarek, spojrzal po raz ostatni:
— Sierżant, wystąpić na front, pluton na moją komendę.
Tych czterech trzeba zastrzelić.
Na wojnie są nieprzydatni.

JÓZEF PRUTKOWSKI

O TĘSKNOCIE

O terenie można nieskończenie..

Czasem nocą, ot, tak bez powodu,
Po głowie mi chodzi:
Po co wyjechałem ze Stalinogrodu,
Staś Dygat z Wrocławia, Erwin Akser z Łodzi,

Marian Wnuk z Sopotu, z Poznania Szymura,
Felek Sztam z Bydgoszczy i inni...
Uważam, że to bzdura.
Nie powinni.

Czytam: robią pierony niewąsko.
Cała Polska ich sławi.
Potęsknilbym dziś za Warszawą na Śląsku.
A tak tęsknię za Śląskiem w Warszawie.



— A dziś jaka aura dla twórczości?

Rys. Ignacy Witz

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

„Liany” po roku



Niespełna rok temu napisałem felieton zatytułowany „Cave lianem”, w którym starałem się wyrazić moje obawy dotyczące realizacji filmu „Opowieść atlantycka”. Ponieważ w naszym życiu kulturalnym nie brak pewnych rysów chybcałości sportowej (etapy, walka wolno - amerykańska. Kalużyński contra Lasota, nieczyście chwytły recenzentów, unikły dyskusyjne itp.) felieton ten stał się również przedmiotem niewielkiego totalizatora. — „Jak się film uda, to leżysz” — już na zapas cieszyli się życiwi, „nic się nie bój — pocieszali inni — będzie kłapa mrowana” (jakby mnie naprawdę na tej kłapie zależało).

Później zaczęły się telefony naczynych świadków. Ponieważ zaś tak się składa, że najpierw oglądają filmy ci, którzy się na nich nie znają, więc wieści były niezwykle sprzeczne — od tzw. „pocieszających” (w pojęciu moich informatorów pocieszających dla mnie) do „tych” — że film się udał. Ktoś nawet chciał mi sprzedać tytuł recenzji — „Radosna samokrytyka” (!); niestety nie mogę skorzystać.

„Opowieść atlantycką” reż. Wandy Jakubowskiej według scenariusza Mirosława Żulawskiego obejrzałem dwukrotnie, przy maksymalnym zaangażowaniu dobrej woli. Jest to dzieło niezwykle wytworne i subtelne, na którym jednak niesposób wysiedzieć. Czy miałem rację pisać „Cave lianem”? — Ze smutkiem muszę stwierdzić, że niestety miałem. Przewidywania moje nie sprawdziły się zupełnie dosłownie, ale przecież się sprawdziły. Popelnilem taką mniej więcej pomyłkę, jak gracz w kregle, który mówi — zobaczcie, że ta figura zostanie trafiona i przewróci się na prawo — a ona tymczasem przewraca się na lewo. Jednak właśnie ona została trafiona i przewróciła się.

Dlaczego bałem się „Opowieści atlantyckiej”? Bo bałem się filmu, który chce zbyt wiele różnych rzeczy powiedzieć, zahaczając o Francję, Indochiny i NRD, bałem się kolubryny monumentalnej, która dźwigając nadludzki ciężar przeogladu spraw międzynarodowych nie zdoła unieść „prostej ludzkiej sprawy”. Bałem się również falsyfikatu — falsyfikatu Francji, NRD, Indonezji, bałem się sztucznych lian i sztucznego Berlina. Bałem się pirotechniki. Te wszystkie niebezpieczeństwa tkwiły w „Opowieści atlantyckiej”.

Wynika z tego, że pomyliłem się całkowicie, bo w filmie Jakubowskiej nie ma monumentalizmu, nie ma popisów pirotechnicznych, a liany i Berlin udaly się bezspornie dekoratorowi inż. Radzinowiczowi. Film wyszedł prawie kameralny, jakiś sciszony, daleki od nachalności poetyki monumentalnej. Ale przecież, przy tym wszystkim, co można powiedzieć na plus, właśnie niepokojąca mnie wada dramaturgiczna spowodowała jego porażkę, przewróciła „Opowieść” na ten właśnie lewy bok.

Film miał przekazać nam informacje odległe od siebie i trudne do połączenia — wiadomości o „brudnej wojnie”, o walce klasowej we Francji, o rozwoju NRD i dojrzewaniu świadomości Niemców. Jednocześnie film nie chciał pokazać jednolitej akcji w formie przygod bohatera, który by te wszystkie rzeczy widział: autorzy, słusznie, uważali taki pomysł za zbyt karikaturny. Postanowili więc, w obojętnie przed przeładowaniem akcją i nietrudnym do popelnienia nonsensem, posłużyć się relacją wtór-

na, opowieścią post factum. Wy-mienienie trudnej do konstruowania linii fabularnej na tok wspomnienia zwolniło autorów filmu od jakiegokolwiek dyscypliny narracyjnej. Biegiem filmu przestala rządzić jakkolwiek konieczność rozwoju wypadków, jakiegokolwiek logiczne następstwa faktów, jakiegokolwiek rygor, bo wspominać można wszystko i w dowolnej kolejności, bez zachowania przejść. To pozwoliło, rzecz jasna, pokazać i Wietnam i Berlin, ale jednocześnie wyłączyło wszelkie realnie działające motory, zdolne posuwać akcję naprzód. Chłopcy z równym powodzeniem mogą znaleźć w starym bunkrze Gerharda Schmidta jak i go nie znaleźć. Może on im opowiedzieć swoją historię równie dobrze jak i nie opowiedzieć, a nawet jest trochę dziwne, że im tak łatwo opowiada. Wreszcie mali Francuzi mogą mu równie dobrze udzielić pomocy, jak zapomnieć o nim.

Przez pierwsze 45 minut w filmie nie się nie dzieje, choć mamy nadzieję, że coś się zacznie. Później następuje opowiadanie Schmidta, również wolne od jakiegokolwiek dyscypliny narracyjnej. Następnie film kilkoma zręcznymi posunięciami dąży do zakończenia, co nie jest takie trudne, bo nietrudno jest skończyć coś, co się nie zaczęło.

Zadaniem filmu było pokazać, jak w trudnych kolejach losu wy-rasta świadomość zwykłego Niemca i jak niezwykle spotkanie z ukrywającym się w bunkrze zbiergiem wpływa na młodych Francuzów. Też taką uznać można za przeprowadzoną jedynie wtedy, gdy uwierzyliśmy się ona w akcji, w postępowaniu bohaterów, w ich reakcjach. W „Opowieści atlantyckiej” nic podobnego się nie dzieje — Schmidt, ponieważ nie działa, więc może nam jedynie powiedzieć, że zamierzał, gdy zaś synek francuskiego mieszczaństwa przeżywa wahania, wyjaśniać to musi widzowi głos spikera, ponieważ nie istnieje żadna realna możliwość zademonstrowania tych wahań w sposób filmowy, to znaczy w działaniu.

Tak więc „Opowieść atlantycka”, uciekając przed nadmiarem pozorowego ruchu, właściwego metodzie monumentalno - ilustracyjnej, upadła w kompletny bezruch dramatyczny. Znaczący to, że nie ustrzegła się jednak ilustracyjnego niebezpieczeństwa, którego istota jest przecie: właśnie bezruch, maskowaną szumnymi pozorami.

W „Opowieści atlantyckiej” jest kilka rzeczy udanych — np. gra Stoora w roli Schmidta i gra dwóch małych chłopców (jeśli tu w ogóle można mówić o grze, przy zupełnym braku materiału do zagrania) i jedna rzecz szlachetna — pomyślny plastyczny pierwszeństwa, gdzie operator Wohl pokazał, ile bogactwa plastycznego tkwi w setkach możliwych kombinacji czterech elementów — morza, nieba, piasku i światła. Jest w tym zestawieniu coś z piękna tych czystych pomysłów plastycznych, dla których nawet i warto zrobić cały film, tak jak warto było zrobić „Potomkina” chociażby tylko dla jednej sekwencji schodów odesskich a „Ziemia drży” dla jednej sceny kobiet w czerni, zapatrzonych w morze.

Fotografia jednak, ratując film, uczyniła mu jednocześnie krzywdę. Gdyby nie jej urok być może twórcy wcześniej spostrzeżliby swoją pomyłkę i zdołaliby jej zapobiec.

Krzysztof T. Toeplitz